

BLUSZCZ

*społeczno-literacki ilustrowany
tygodnik kobiecy*



W a r s z a w a,
S o l e c 87.

„BLUSZCZ“

społeczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

W a r s z a w a,

Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 6-76-72.

telefon 2-44-18.

Redaktorki: *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW* (naczelna) i *MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW*

Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*

Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

Furniej niebieski — *J. Krawczyńska*. Dzieci nieślubne — *Wanda Woytowicz - Grabińska*. Piękność odzyskana — *Halina Izdebska*. Kobieta wicedyrektorem Rzeźni Miejskiej w stolicy — *Łada*. Lidzbark — *Aniela Waldenbergowa*. To, co najważniejsze — *Hanna Skarbek - Peretjatkowicz*. Wędrowniki górnośląskie — *Jerzy K. Maciejewski*. Echa Poznańskie — *Zofja Karczevska*. Humor u obcych. Międzynarodowy Kongres gospodarczego kształcenia kobiet w Berlinie — *Marja Karczevska*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Z ubiegłego tygodnia — *H. N.* Przegląd prasy. Kobieta w świecie i w domu. Ogrodnictwo i hodowla: Polska — krainą jabłka — *Marja Dąbrowa*. Dom i gospodarstwo: Oszczędzamy — *Wanda Dobrzańska*. Przepisy gospodarskie — *Melba*. Mody i roboty.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł. kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcza”, Sp. z ogr. odp

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.
$\frac{1}{1}$ str. tekstu —	700.—
$\frac{1}{2}$ „ „ —	400.—
$\frac{1}{4}$ „ „ —	200.—
$\frac{1}{8}$ „ „ —	100.—
$\frac{1}{16}$ „ „ —	50.—
$\frac{1}{32}$ „ „ —	30.—

Okladka III-cia

	zł.
$\frac{1}{1}$ str. okł. —	500.—
$\frac{1}{2}$ „ „ —	250.—
$\frac{1}{4}$ „ „ —	150.—
$\frac{1}{8}$ „ „ —	80.—
$\frac{1}{16}$ „ „ —	50.—
$\frac{1}{32}$ „ „ —	30.—

Okladka IV-ta

	zł.
$\frac{1}{1}$ str. okł. —	600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

Błysto!

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

Turniej niebieski

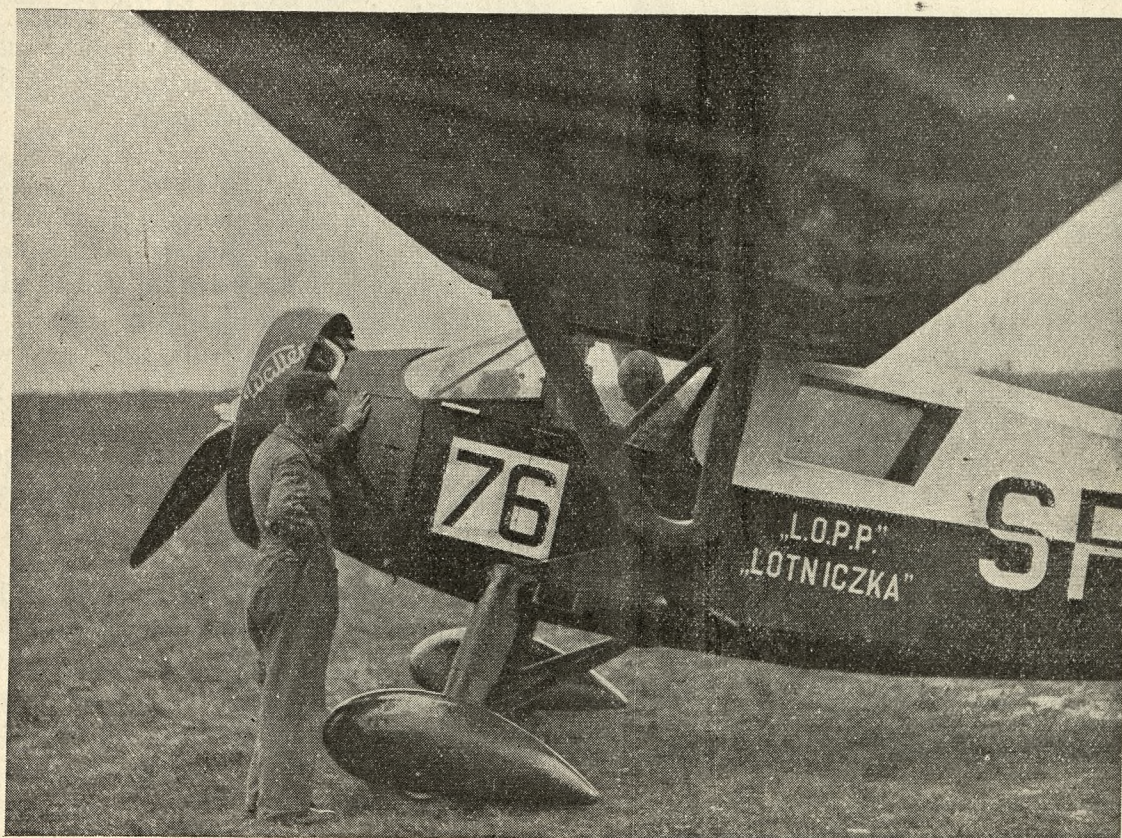
W ostatnich tygodniach wszystkim nam urosły skrzydła — wszystkim tym, co mają żywe poczucie wspólności z toczącym się czasem i co kochają szerokie przestrzenie w każdym znaczeniu, dosłownym i przenośnym.

Dwadzieścia dni, poświęcone zdobywaniu powietrza we współzawodniczącym wysiłku ludzi i maszyn, upływa w atmosferze szczególnego napięcia i zainteresowania, przesłaniającego nasze codzienne sprawy. Challenge międzynarodowy, Turniej lotniczy, będący zarazem próbą sprawności technicznej i podróżnictwa, przerósł znaczeniem swym zwyczajne zapasy o rekordy! Polska, której w tym roku przypadło w udziale organizowanie tej wielkiej imprezy po

chlubnym zwycięstwie Żwirki i Wigury, Polska cała porwana została wzwyż pięknym porywem zdobywców powietrza, uniesiona bohaterskim pędem, zapalona ogniem niebieskim entuzjazmu.

Ci, co mogli zbliżyć patrzeć na Challenge, napelniali trybuny na lotniskach, z niecierpliwością i drżeniem serca śledząc loty, z zachwytem i radością najwyższą bijąc brawo znakomitym lotnikom. Na tych dni dwadzieścia młodzi i starzy stali się „znawcami”, oceniali „erwudziaki” i „pezetelki”, wyróżniali „klemmy” lub „messerschmidty”, dyskutowali o owiewkach i podwoziach...

Na ciekawsze i efektowniejsze próby techniczne przychodziły tysiące publiczności, czy deszcz, czy po-



Polski samolot Challenge'owy
R W D 9,

ufundowany
przez Koło
Pań LOPP.
(fot. Ryś).



Czech Anderle przy pomocy żony roluje swoją RWD 9 do hangaru.

goda, nieustrudzenie i nieustępliwie stercząc nad zielonym polem lotniska. Aby zobaczyć próbę najkrótszego startu (przelot nad bramką) kilkanaście tysięcy ludzi mokło i ziębło przez kilka godzin, oczekując na „lepsze warunki atmosferyczne“. Z najwyższym napięciem, zdenerwowaniem lub wybuchami radości przyjmowano wieści z lotniska... liczone punkty, osiągnięte przez zawodników, śledzono na mapach trasę lotu okrężnego, sumowano godziny i minuty przelotów.

Ci, co nie mogli widzieć własnymi oczyma, słuchali radjowych doniesień, rozchwytywali dzienniki, dyskutowali i robili zakłady. Nikt nie chciał pozostać poza powszechną falą zainteresowania, nikt nie chciał usunąć się z pola walki o laur lotniczy. Dla wszystkich, dla najbardziej obcych sprawom lotniczym, dla najbardziej przeciętnych ludzi okres Challenge'u był jakby odetchnieniem powietrzem wyżyn, był ulgą w codziennych troskach, był ucieczką na gwiazdy. Błyszczące na błękicie skrzydła samolotów cieszyły, niby iskierek nadziei, szum śmigła pod chmurami zwiastował bliskość powodzenia, wspaniałe wiraże i akrobacje lotników były literami słów szczęścia i potęgi, pisanymi po niebie.

* *

To dla widzów, dla tłumów, upojonych i rozpalonych ciekawością, skupionych w jednym pragnieniu zwycięstwa. Ale przecież to nie wszystko. To zaledwie zewnętrzne oznaki wielokształtnej treści.

Challenge jest dlatego tak pasjonującym przedsięwzięciem, że skupia w sobie najrozmaitsze pierwiastki, że jest grą o niejedną stawkę. Rekord ludzkiej sprawności i wytrzymałości fizycznej, nerwowej i moralnej — rekord lotnika, jest tylko częścią sprawy.

Może najbliższą społeczeństwu, może najsympatyczniejszą. Wszystkie myśli mkną za bohaterem, wszystkie serca troszczą się o niego, wszystkie oczy podziwiają, jak człowiek potrafi przeistoczyć swe zmysły i nerwy, zmienić swą wrażliwość i wolę, by stać się napowietrzniem stworzeniem.

Obok człowieka w locie drugą stawką jest maszyna — jego skrzydła. Od tej doskonałości zależy w najwyższym stopniu jego powodzenie, życie, zwycięstwo. Konstruktorzy i wynalazcy, technicy i mechanicy wysilają się, by dać maszynie jaknajwięcej szans w locie, jaknajwiększą sprawność, siłę, zwinność.

Challenge, jako turniej samolotów lekkich, turystycznych, pobudza współzawodnictwa w kierunku precyzyjnej, trwałej, wykończonej budowy. Samoloty challenge'owe to niemal artystyczne twory, drgające życiem pod ręką pilota.

Ze zwycięstwa tej czy innej maszyny płynie nie tylko zadowolenie ambicji konstruktorów: rekord jest podszyty grubym kapitałem, oznacza przewagę na rynku światowym, poważne zyski dla przemysłu i specjalistów. Konkurencje challenge'owe są dlatego tak drobiazgowo, tyle zawierają w sobie mierzenia, ważenia, akrobatycznych prób, że muszą być zbadane wszechstronnie zalety i wady budowy samolotu. Ta strona zawodów budzi zawzięte, choć zakulisowe, walki, targi, w atmosferze businessu.

Sens tego wszystkiego — zdolność odbywania szybkich podróży powietrznych na samolotach lekkich, turystycznych. Komunikacja powietrzna z jej olbrzymiami, nieobliczalnymi skutkami, zmienia w oczach naszych oblicze świata. Zbliża ziemie i ludzi, wyprzedza wszelkie marzenia o czasie i przestrzeni. Daje człowiekowi niebywałą moc panowania nad przyrodą i warunkami bytu. Poprzez ofiary pionierów powietrza, poprzez niewiarygodne napięcie sił fizycznych i duchowych, przez olbrzymią pracę lotnictwa, Challenge daje próbę dalszych, coraz większych możliwości.

* * *

„Szary człowiek“ chodzi z głową, zadartą do góry“... pisała w ostatnim numerze „Bluszczu“ kronikarka „Tygodnia“, mówiąc o Challenge'u. Miała rację, a ja dodam, że szary człowiek podwójnie słusznie nosi głowę do góry: raz, by patrzeć na latające samoloty, po raz drugi, bo może być dumny ze swego udziału w tej wspaniałej imprezie.

SKŁADANIE OSZCZĘDNOŚCI DO P.K.O.

to spokój, dobrobyt, harmonja w rodzinie.

A tak. Szary człowiek, prosty człowiek z bezmiejscowego tłumu stworzył realne możliwości dla turnieju lotniczego, składając grosz po groszu na cele Challenge'u, aż z groszy urosły tysiące, blisko milion złotych, za które można było sprawić i wyekwipować maszyny. Polskich maszyn jest 11, a wśród nich jedna, nosząca nazwę „LOPP-Lotniczka“, na którą złożyły się składki kobiet, zebrane przez Komitet Kobiety Budowy Samolotu.

W powszechnej ofiarności udział kobiet był zapewne niemały i bardzo rozległy, bo wiadomo już, że ofiarodawcami i ofiarodawczyniami nie byli kapitałiści i bogacze, nie był przemysł i finansjery, lecz szerokie masy ludności pracującej. Ze złotych i groszy zbierano setki tysięcy, widomy znak zrozumienia idei lotniczej przez społeczeństwo, gestem tym potępiające abstynencję bogaczy i potentatów.

Pragnieniem rzeszy kobiecych, zasilających fundusze Komitetu Kobiety Budowy Samolotu, było zobaczyć na samolocie challenge'owym lotniczkę polską. Na to, że pilotem „Lotniczki“ nie jest kobieta, lecz doskonały i dzielny pilot Henryk Skrzypiński, któremu towarzyszy wytrawny mechanik, Michał Lorenz, złożyły się różne przyczyny. Najważniejszą z nich jest zupełnie zaniedbane szkolenie lotniczek w Polsce, co, niestety, nie pozwoliło poważnie traktować udziału ich w tak ciężkiej próbie, jaką jest Challenge.

Na tak ryzykowne i trudne próby lotnicze, jak najkrótszy start i lądowanie, składanie maszyny, próba minimalnej i maksymalnej szybkości, wreszcie przelot około 10.000 kilometrów w tempie wyłożonym ponad bardzo trudnymi terenami, mogli być wybrani tylko najlepsi, najdoświadczeni i wyszkoleni latami piloci, mający poza sobą już wielkie, rekordowe i wytrwałe loty. Nasze młode lotniczki są zaledwie piskletami, choć nie można im z tego robić właściwie zarzutu: stosunki w Aeroklubach układają się w ten sposób, że lotniczki mogą w niektórych z nich latać raz na miesiąc przez godzinę!... Przy tak komicznym traktowaniu ich wyszkolenia, niema dotychczas mowy o jakichkolwiek rezultatach i te młode kobiety, które uzyskały dyplom pilota, po prostu marnują swe zdolności i możliwości.

Jest ich już w Polsce mała garstka, wyhodowana w Krakowie, Lwowie, Wilnie, Warszawie, na Śląsku, lecz zapałowi i zdolnościom nie towarzyszą finansowe zasoby. (Tak bywa, we wszelkich sprawach, że pieniądze i fantazja nie chodzą w parze, a zamożne kobiety mają zupełnie inne „ideały“, niż zdobywanie powietrza). Dlatego coraz bardziej palącą staje się sprawa zorganizowania pomocy dla naszych lotniczek i dania im wyszkolenia i treningu, należy też mieć nadzieję, iż Komitet Kobiety Budowy Samolotu nie poprzestanie na swej pierwszej, doraźnej akcji i zorganizuje pomoc dla lotniczek od podstaw.

Nikt dziś już nie wątpi w zdolności kobiet, niema żadnych faktycznych przeszkód do ich udziału w wielkim biegu w przestworza: wykazały się tylekroć nie tylko sprawnością, ale wręcz bohaterstwem i rekordowymi wynikami. Nie może być przeszkodą tylko materialna sytuacja, nie może przywilej pieniądza decydować o udziale kobiet w lotnictwie. Dlategoż dotychczas niema ani jednej Polki tam, gdzie mogły być Amelja Earhardt i Amy Johnson, Maryse Hilsz i Helena Boucher, Tea Rasche i Marga von Etzdorf, męczennica, którą zabił hitlerowski terror przesądu o „niższości kobiet“, Ruth Elder i wiele innych, mniej głośnych i mniej szczęśliwych.

Przykre uczucie, jakiego doznajemy spowodu nieobecności lotniczek wśród naszych zdobywców powietrza, powinno znaleźć ujście w wytężonej pracy i gorliwej trosce o pomoc i wyszkolenie przyszłych lotniczek.

J. Kravczyńska.



Anglicy: p. Macpherson i panna Quentin startują w Challenge'u w barwach polskich na samolocie „Puss-Moth“.

Dzieci nieślubne

II.

Obowiązek dostarczenia utrzymania ciągnie się jedynie do czasu, w którym dziecko nieślubne może się już samodzielnie utrzymać, a jak to niektóre kodeksy określają, „wyżywić”. Termin ten w pewnych ustawodawstwach jest oznaczony ściśle wiekiem dziecka. Danja i Szwajcaria określają go na lat 18, Finlandja 17, Anglja i Niemcy, 16.

W kwestji dziedziczenia z zasady we wszystkich państwach tej grupy dziecko nieślubne dziedziczy po matce i jej krewnych, na równi z dzieckiem ślubnem. Pewne ograniczenia w tym względzie posiadają ustawodawstwa angielskie i austriackie.

Po ojcu dziecko nieślubne dziedziczy tylko wtedy, jeżeli zostało przez niego uznane dobrowolnie lub sądownie. Należy zaznaczyć, że w Finlandji i Norwegji dziecko takie dziedziczy w tym wypadku na równi z dzieckiem ślubnem.

Bardzo ważne znaczenie dla dzieci nieślubnych ma t. zw. legitymacja t. j. uznanie dziecka za prawe przez następne małżeństwo rodziców.

Często ustawy wymagają przytem, aby dziecko nieślubne było uprzednio przez rodziców uznane.

Niektóre państwa, jak wspomnieliśmy, nie dają się zaliczyć do żadnej określonej grupy ustawodawstw. Są to przede wszystkim kraje, w których zagadnienie dzieci nieślubnych przedstawia się w sposób wielce odrębny, np.: Sjam, Rosja Sowiecka, lub Irlandja. W Sjamie wystarczy, żeby ojciec i matka byli niezaprzeczenie pochodzenia sjamskiego, aby ich dziecko było uważane za prawe.

W Rosji Sowieckiej została zniesiona prawie że zupełnie różnica w traktowaniu prawnem dzieci, pochodzących z małżeństw t. zw. zarejestrowanych, bądź ze związków wolnych.

Krańcowo odmienne w stosunku do tego zajmuje stanowisko Irlandja, w której dziecko nieślubne nie może pozbyć się nigdy znamienia dziecka nieprawego. Aczkolwiek bywa ono powierzane matce, ale tylko do lat 16, nie nabywa przytem względem niej, poza utrzymaniem i wychowaniem, żadnych innych praw. Z punktu widzenia prawa cywilnego, jest ono traktowane zawsze jako „filius nullius”, dziecko niczyje: nie może nawet w części dziedziczyć po matce i nie może też tu, nawet za wolą nieślubnych rodziców, być przez nich uprawnionem.

Należy tu również wymienić kraje posiadające, z tych czy innych względów, kilka ustawodawstw różnego pochodzenia na swoim terenie, jak np. Australja, Kanada, Indje, Stany Zjednoczone, a nie szukając zbyt daleko, Rumunja i Polska.

Na ziemiach naszych, na terenie trzech byłych zaborów, obowiązują bowiem dotychczas cztery kodeksy: dawny kodeks niemiecki, oparty o przytoczoną wyżej koncepcję germańską, przestarzała ustawa austriacka, wreszcie kodeks cywilny Królestwa Polskiego i częściowo kodeks Napoleona.

Ponadto na ziemiach wschodnich Polski obowiązuje w tym względzie dawne prawo cywilne rosyjskie.

Komisja Kodyfikacyjna Rzeczypospolitej Polskiej zajmuje się obecnie opracowaniem przyszłych zasad prawa rodzinnego. W przyszłym polskim kodeksie cywilnym zostanie więc również ujęta jednolicie sprawa stanowiska dzieci nieślubnych. Nic więc dziwnego, że opinja społeczna interesuje się już w chwili obecnej, po jakiej linii rozumowania pójdzie ustawodawca polski. Na przytoczonych przykładach rozmaitych ujęć tego zagadnienia widzieliśmy w jak odmienne sposoby można unormować tę kwestję. Z drugiej jednak strony życie dostarcza nam argumentów, zwalczających zbytnie ograniczenia dzieci nieślubnych w prawie cywilnem, jako szkodliwe nie tylko dla pokrzywdzonych jednostek, ale i dla społeczeństwa.

Najjaskrawsze dowody przynoszą nam tutaj doświadczenia z terenu, na którym obowiązuje kodeks cywilny Królestwa Polskiego, zakazujący poszukiwania ojcostwa i zezwalający tylko pod pewnymi warunkami na prowadzenie akcji o alimenty.

W tym stanie rzeczy cały ciężar utrzymania dziecka nieślubnego, spada przeważnie na barki matki, chociaż życie dało mu dwoje ludzi, a nie jest to tylko ciężar materialny, lecz i moralny, gdyż społeczeństwo odwraca się od nieślubnej matki i ją wyłącza potępia, kiedy ojciec, którego prawo zabrania osiągnąć, wymyka się od wszelkiej odpowiedzialności. Jedyna zaś akcja, którą kobieta może przeprowadzić dla ochrony materialnego interesu dziecka, akcja sądowa przeciwko faktycznemu ojcu o alimenty, stanowi dla niej tak gorzkie pasmo upokorzeń, wlokących się czasem w ciągu kilku lat procesu, że wiele matek rezygnuje z niej zupełnie.

W innych zaś wypadkach do akcji tej nie dochodzi, z powodu nieznanomości przepisów prawnych, lub braku dostatecznych dowodów.

W tych warunkach, obok moralnej gehenny kobiety, wyrasta druga gehenna, dziecka nieślubnego, które chce żyć, rozwijać się normalnie, tymczasem jest odtrącone i zepchnięte wraz z matką do istot niższego rzędu. Skutki tego stanu rzeczy wyrażają się w faktach zbyt jaskrawych, żeby można było mijać je obojętnie.

Liczne wypadki dzieciobójstw nieszczęśliwych, opuszczonych matek, które nie mogły znieść wizji tragicznej przyszłości, dalsze losy zniszczonych moralnie kobiet, schodzących często z progów więzienia w najniższe dziedziny życia, tysiące dzieci podrzuconych, najnieszczęśliwszych „dzieci niczych”, wypełniających koszary zakładów wychowawczych, wiele, bardzo wiele istnień spaczonych i złamanych, oto bilans kilku skostniałych artykułów prawa cywilnego.

Ale krytyka negatywna nie wystarcza. Dla tego też w przyszłości pozwolimy sobie powrócić do tematu dla głębszego jego oświecenia i wskazania w jaki sposób niektóre państwa starają się pogodzić prawo cywilne z prawem życia.

Wanda Woytowicz - Grabińska.



Ogromnie
praktyczny —
obecnie także w
podręcznych ma-
łych paczkach

RADION
sam pierze!

Duże sztuki czy małe- grube czy cienkie...

Jednakowo pierze je Radion, gdyż jest
środkiem jakgdyby stworzonym do prania
wszystkiego. Prótne, wełna i bawełna, jed-
wab sztuczny czy naturalny, batyst — odpo-
wiednio uprane Radionem, stają się czyste
w jednej chwili i nie niszczą się przytem.

RADION

JEST UNIWERSALNYM ŚRODKIEM
DO PRANIA

RP 16/34

Piękność odzyskana

2)

— Czy nie mam prawa zaznać
tego najprostszego szczęścia kobie-
cego, którego mąż mój nigdy mi nie
dał? Gdyby pani wiedziała! Ja czu-
ję taką szaloną tęsknotę miłości,
mam taki jakiś... głód życia we krwi!
Raz się przecież żyje. Kiedyś będę
stara, bliska śmierci... A zresztą nie,
nie o to chodzi. Ja pragnę nie mi-
łości, ale jego. Kiedy usłyszałam
jego śmiech młody, zuchwały, zdro-
wy, taki śmiech, że, zapewniam
panią, usłyszałam go raczej ser-
cem, niż uszami, zrozumiałam na-
tychmiast, że wszystko skończone.
Że nie będę mogła walczyć, że gdy-
by tylko mnie zechciał...

Staralam się dojrzeć w mroku
wyraz jej oczu, jej ust... Powiedzia-
łam wreszcie:

— Ten obraz pani narzeczonego
tak mało odpowiada temu, który
miałam na myśli, kiedy mi pani o
nim mówiła trzy tygodnie temu...

Podniosła głowę z żywością.

— Jakto? Ach, tak!

I zaczęła się śmiać, zresztą z pew-
nem żałowaniem.

— Pani myślała, że to ja za tam-

tego... Nie, co znowu! Nie, co zno-
wu! Gdzieżbym ja mogła związać
swoje życie z życiem kaleki! Podobał
mi się naprawdę w ciągu dwu
dni, nie przeczę; ale to było zupeł-
nie co innego! Podziwiałam jego o-
czy, jego ręce. Wyznaję, że ręce
męskie dziwnie mnie wzruszają.
Męskie ręce i włosy. On miał rę-
ce delikatne, włosy jasne, z popie-
latym odcieniem, bardzo ładne...
Ale odkąd zobaczyłam tamtego, o
wszystkiem w życiu zapomniałam.
Widzi pani, już nawet nie pamięta-
łam, żem pani kiedyś o tem mówi-
ła. Ale ten drugi... Kiedy, wchodząc
do kasyna, zobaczyłam, jak wycho-
dzi, z tym swoim śmiechem (zawa-
hała się i dodała ciszej słowo, które
mnie zdziwiło: śmiechem nie-
ubłagany), poczułam jakby za-
wrót głowy, jakiś najprawdziwszy
koniec świata! Tak, jemu właśnie,
pięknemu, młodemu — młodszemu
odemnie, niestety! — oddałam ser-
ce, duszę, ciało, żeby z nimi zrobił,
co zechce! Zresztą powiem pani
rzecz, która się pani może wyda za-
bawna...

Wiatr na plaży stał się chłodniej-
szy. Skierowaliśmy się ku domowi.
Słuchałam głuchego trochę głosu
młodej kobiety:

— Prawie zawsze interesowałam
się tak jednocześnie dwoma męż-
czyznami. Kiedy byłam młoda... O,
wtedy nie było to, oczywiście, to
samo; słuszniej byłoby powiedzieć,
że wówczas raczyłam spostrzegać
się, że było dwóch mężczyzn za-
chwyconych mną i szczególnie go-
dnych uwagi. I zawsze byli oni zu-
pełnie niepodobni jeden do drugie-
go. Zdaje mi się, że jest coś mistycz-
nego w tem wahaniu się serca ko-
biecego między dwoma biegunami
męskości...

Szłyśmy na górę po rue du Phare.
Odwróciłam się po raz ostatni i pod
urokiem tego miłego, żywego głosu,
poczułam dwie m o j e miłości:
gwiazdy — i życie ludzkie.

Nazajutrz wróciłam do Paryża.

Chociaż dałam pani Fabrol mój
adres paryski, nie bardzo liczyłam

na jej odwiedzin. Wiedziała z doświadczenia, że znajomości, zawarte nad morzem, rzadko trwają po powrocie do warunków codziennych, tak mało waży nasze pragnienie w wyborze otaczających nas osób.

A jednak, pewnej niedzieli, właśnie kiedy myślałam, że wartoby może do niej napisać, zjawiała się, bez uprzedzenia, w moim małym saloniku.

Była trochę zmieniona, mniej żywa, ocieślała jakby i więcej niż kiedykolwiek pozbawiona tej triumfalnej pewności siebie, którą posiadała była w młodości.

Byłam szczerze zadowolona, że ją widzę. Nasze rozstanie pozostawiło mi wrażenie przerwanej melodyi muzycznej. I, która prawdziwie cierpię, jeżeli nie mogę doczytać do końca rozpoczętej książki, choćby nie pierwszorzędnej, byłam dziwnie przejęta tem przeznaczeniem, które w moich oczach przyjęło pewną formę, i o którym nie więcej nie wiedziałam.

— No, cóż? — zapytałam. kiedyś my usiadły, nie chcąc ściślej sformułować zapytania.

Odpowiedziała mi poważnie:

— Jestem jego żoną. I nie żałuję tego. Nie, nie żałuję. Mam to, czego chciałam. I cóż, jeżeli czasem cierpię, jak potępiona: bywają chwile takie cudowne, że mi wszystko wynagradzają.

I zaczęła mi mówić, trochę bezładnie, o wszystkim, co się stało. od chwili naszego rozstania. Od czasu do czasu wspominała od niechcienia o szczegółach tak drastycznych ich życia małżeńskiego, że nie śmiałam patrzeć na nią. Powiedziała między innymi, że pierwszy jej mąż, znacznie starszy od niej, pozostawił jej uczucie „fizycznej pogardy dla mężczyzny” i że dlatego może to, co odczuwa obecnie, jest dla niej czemś więcej, niż pierwszą miłością.

— To jest zburzenie wszystkich moich pojęć, wszystkich zakorzenionych przyzwyczajęń, całej mojej istoty moralnej i fizycznej. Rozumie pani, to nie tylko nowe narodziny moje, ale jednocześnie huragan, który unosi wszystko, co było!

Odeszła ode mnie po uływie godzin, jakgdyby pod wpływem nagłej myśli.

Czy powróci? Odurzyła mnie trochę ta gorąca fala cudzego życia, którą tak silnie czułam, póki mówiła o nim. Byłam niemal sama zakochana w tym młodym człowieku, który tak świetnie umiał się śmiać i którego może nigdy nie zobaczę...

Wróciła potem dwa czy trzy razy, z oczami zaczerwienionymi od płaczu. Mówiła niewiele, opowiadała, że córka jej czuje się o wie-

le lepiej i pisuje do niej dwa razy na tydzień. Nareszcie — znowu była niedziela — weszła prędko do saloniku i bez słowa rzuciła się na kanapę, szlochając tak strasznie, że mi się serce ścisnęło.

Stałam obok niej, wzruszona i niezręczna. Widziałam, jak ramiona jej podnosiły się raz po raz od daremnie wstrzymywanego płaczu i powtarzałam cicho: „No, dosyć! No, nie trzeba! Nie trzeba płakać!” nie bardzo wiedząc, co trzeba powiedzieć lub uczynić.

Poszłam nareszcie po wodę kolońską. Wróciwszy z butelką, zastałam ją siedzącą sztywno na kanapie. Nie płakała już. Oczy jej, szeroko otwarte, zdawały się patrzeć w pustkę.

Zobaczywszy mnie, zaczęła mówić tak prędko, że niektórych słów nie udawało mi się zrozumieć.

Mąż jej często nie wracał na noc do domu, czasami bywał nieobecny przez cały tydzień. Za każdym razem myślała, że to już na zawsze. Gotowa była na najgorsze upokorzenia byle jednak powrócił. Raz przyprowadził do domu swoją ostatnią kochankę, zupełnie młodziutką dziewczynę, którą biedna kobieta przyjęła jak najlepiej w nadziei, że może w ten sposób uda się jej dłużej zatrzymać go w domu. Żyli zatem we trójkę, dopóki nie porzucił ich obojgów, wczoraj nad ranem.

— Ach, powiedziała, kiedy teraz myślę o swojej dawnej piękności, o swojej młodości, z której nic nie potrafiłam zrobić, ponieważ go wtedy nie znałam...

Potem, ciszej, otwierając oczy, jak dziecko, mówiąc o rzeczach niezrozumiałych, powiedziała mi o pewnej metodzie leczniczej, która jakoby cuda czyni. „Jakiś lekarz szwajcarski, proszę pani, który daje kobietom pozory młodości”.

— Widzi pani, gdybym odzyskała swoją dawną piękność... Gdyby, wróciwszy do domu, zastał, zamiast żony starszej od niego i wiecznie drżącej, że go straci, kobietę cudownie odmłodzoną, piękną, pewną siebie... Tylko dzięki tej nadziei żyję teraz!

Czas mijał.

Często myślałam o mojej znikłej znajomej i bardziej jeszcze, wyznam, o jej mężu, tym młodym człowieku, którego bym się może bała poznać, i którego istnienie dziwnie czułam kiedyś na szerokim świecie...

Raz tylko dostałam od niej kartę ze Szwajcarii, w której zaznaczała, że „ma jak najlepszą nadzieję”. Potem nic więcej. Ale to wystarczyło, abym zbudowała w wyobraźni cały romans: ona, znowu młoda i piękna, dumna i olśniewająca, i on, który kiedyś złowił jej serce

jednym wybuchem młodzieńczego śmiechu, teraz zwyciężony z kolei, wobec tego cudu miłości, u jej stóp...

Nareszcie przysłała do mnie, nie uprzedziwszy, jak zwykle.

Tak, to była ona. A jednak trudno mi było ją poznać.

Musiała uciec się do jakichś szczególnych środków, które wydały opłakane skutki. Na twarzy jej, jak maska, rozciągała się skóra martwa, ohydna. Pod tą maską — ale czyż potrafię to opisać? — dziwaczne wzniesienia pojawiały się i znikały, przelewały się, zmieniały formę... Było to coś tak potwornego, że musiałam uczynić prawdziwy wysiłek nad sobą, aby nie krzyknąć ze zgrozy.

Oderwałam oczy od tej okropnej twarzy; potem, bojąc się ją obrazić, zmusiłam się do nowego na nią spojrzenia.

Wtedy to zauważyłam rzecz straszniejszą jeszcze od zaszłej w niej zmiany, doprawdy jedną z najstraszniejszych rzeczy, które wogóle widziałam w życiu.

Na tej twarzy — nie twarzy, o nadludzkiej zaiste szpetności, — znalazłam wyraz, który znałam tylko z opowiadań i który zawsze tak bardzo pragnęłam zobaczyć: wyraz triumfu, najwyższej pewności, że się podoba...

Halina Izdebska.

Kobieta v-dyrektor Rzeźni Miejskiej w stolicy

Z pewnem niedowierzaniem przyjęła Warszawa wiadomość o nominacji p. Heleny Jurgielewiczowej, lek. med. wet., na stanowisko wicedyrektora Rzeźni Miejskiej.

Jakto? Kobieta w rzeźni? Wśród oparów krwi?

Czyż to miejsce dla niewiasty? Czy serce jej wytrzyma ten codzienny mord zwierząt? Czy, wobec przysłowiowej brutalności środowiska, nie zbuntują się nerwy i nie wypowiedzą posłuszeństwa?... Posterunek strasznie ciężki, przerastający możliwości subtelnej natury kobiecej?...

Zapewne, posterunek jest ciężki i p. Helena Jurgielewiczowa jest — o ile mi wiadomo — pierwszą kobietą, która na nim stanęła. Ale od najwcześniejszych lat młodości życie układało się jej w ten sposób, że była pionierką nowych haseł i kierowniczką różnych instytucyj społecznych. Jako mała dziewczynka w roku 1912 prowadzi samodzielnie w Towarzystwie Szkoły Ludo-

wej w Krakowie wypożyczalnie książek dla młodzieży. W dwa lata później należy do organizacji Drużyn Strzeleckich. Po zdaniu matury wstępuje na Wydział Medycyny Uniwersytetu Jagiellońskiego, a w rok później, powodowana umiłowan-
 niem zwierząt, wyjeżdża do Lwowa, jako słuchaczka Akademii Weterynarji. „Emancypantka“! — wołają zgorzniałe władze naukowe, broniąc dostępu kobiecie do wrót tej „zakazanej“ wiedzy!

Panna Helena Bujwidówna (pani Jurgielewiczowa jest córką znakomitego profesora Odonu Bujwida), zdaje we Lwowie tylko kolokwja i kilkakrotnie przerywa naukę, by wyjeżdżać do Wiednia, co w czasach wojennych wcale łatwym nie było, i tam w Ministerstwie Oświaty wywalcza sobie prawo do zdobycia upragnionej nauki. Studja nie przeszkadzają jej brać czynnego udziału w życiu akademickim: organizuje w Lwowskiej Akad. Weterynarji życie akademickie, biorąc czynny udział w Bratniej Pomocy oraz na terenie Uniwersytetu Lwowskiego w „Filarecji“, pracuje w Gospodzie Legionistów.

Rok 1917-ty, to okres wytężonej pracy w Lidze Kobiet, a nade wszystko w Polskiej Organizacji Wojskowej: tworzy wówczas we Lwowie oddział żeński P. O. W. i zostaje komendantką tego oddziału. Najbliższa przyszłość wykazuje, jak wielką słuszość miała ta nieustraszona bojownica niepodległości, tworząc bojowe oddziały. Bo oto już w listopadzie 1918 roku rozpętała się zawierucha ukraińska: Helena Bujwidówna z bronią w ręku staje pierwsza do apelu, by bronić wolności Lwowa i na Cyta-
 deli oddaje nieocenione usługi, a przykład jej porywa inne kobiety. Po skończonej obronie Lwowa wstępuje do 5-go pułku Legionów, potem dostaje się do pierwszej Dywizji Piechoty, następnie, jako lekarz weterynarji otrzymuje przydział do pierwszej Brygady Jazdy. W roku 1919 jest komendantem szpitala koni Nr. 1, poczem lekarzem pułkowym 11-go Pułku Ułanów, gdzie do końca wojny trwa na stanowisku na froncie.

Po zawarciu pokoju wychodzi z wojska, zostaje asystentką pracowni bakteriologicznej przy Uniwersytecie Warszawskim, pracuje tu 2 i pół lata, następnie obejmuje stanowisko lekarza Zakładu Utylizacyjnego w Warszawie, pracując tu 8 lat.

Wytężona praca zawodowa nie staje na przeszkodzie w pracy społecznej: bierze czynny udział w różnych organizacjach, znajdując na wszystko czas, a od chwili powstania Rodziny Wojskowej rozwija



UNIwersalny ŚRODEK
DO CZYSZCZENIA

**DUŻA PUSZKA
WYDAJNA W UŻYCIU**

OBECNIE TYLKO

40

GROSZ



P. Helena Jurgielewiczowa.

wytężoną działalność nad wychowaniem fizycznym kobiet, jest przewodniczącą klubu sportowego R. W., bierze żywy udział w konkursach hippicznych krajowych i międzynarodowych, zdobywając liczne nagrody. Nadmienić należy, że pani Jurgielewiczowa była pierwszą wiosłarką polską w czasach przedwojennych, kiedy sport ten dla kobiety uważano za „shocking“.

Tylko taka kobieta, pionierka nowych dróg, mogła stanąć na tak bardzo odpowiedzialnem stanowisku wicedyrektora Rzeźni Miejskiej i nie ułęknać się piętrzących się trudności.

Gdy po nominacji udałam się do niej z prośbą o wywiad, odpowiedziała mi:

— Kiedy otrzymałam propozycję objęcia stanowiska wicedyrektora Rzeźni m. st. Warszawy, przed decyzją głęboko i gruntownie sprawę tę przemyślałam. Propozycja ta była dla mnie, szczerze powiem, zaszczepem, ale tem większa w razie przyjęcia i odpowiedzialność, aby nie zawieść zaufania tych, którzy

mnie niem obdarzyli. Zrobiłam więc gruntowny rachunek sił i po zanalizowaniu wszystkich pro - contra, stanowisko przyjąłam. Zdecydowały następujące czynniki: linja wytyczna mego życia, nawiązana do wysiłku całego życia mej matki, pierwszej bojowniczki ruchu kobiecego. Dalej w naturze mojej nie leży pójście po linii najmniejszego oporu, lecz satysfakcję znajduję w ciężkiej, z całym wysiłkiem prowadzonej, pracy. Już studja moje, jako pierwszej słuchaczki Akademii Med. Weter. we Lwowie, napotkały na wielkie trudności, utarło się bowiem zdanie, że niema w tym dziale miejsca dla kobiety, ileż kobiet poszło tym śladem i w pracy swej niczem nie ustępują mężczyznom.

— Pozwoli pani zapytać, jakie są jej projekty na nowem stanowisku?

— I to również było tematem moich rozmyślań — odpowiada p. Jurgielewiczowa. — Uważam Rzeźnię Miejską za część organiczną stolicy, jaka jest sytuacja stolicy, nie potrzebuję tłumaczyć, wychodząc z tego założenia jako podstawowego, powiem krótko: maksimum korzyści dla miasta przy maksimum wysiłku, skierowanego do podniesienia warunków higieny i humanitarności.

Prawdopodobnie spotkam się z zarzutem opinii, że stanowisko wicedyrektora rzeźni jest stanowiskiem wybitnie nie nadającym się dla kobiety.

Otóż tutaj pozwolę sobie zająć pozycję o tyle zdecydowaną, że opartą na konsekwentnym wyciąganiu wniosków z przesłanek życiowych.

Rzeźnia nie jest terenem uroczym, w założeniu jej leżą instynkty człowieka pierwotnego. W okresie jaskiniowym mężczyzna siedł na polowanie, a kobieta pilnowała domu, czasem na wszystkie placówki wysłała kobietę i nolens volens, musiała przyznać, wycisnęła pewien wpływ na złagodzenie form walki o byt. I w tem leży zadanie, które sobie między innemi również stawiam.

Łada.



Teren obozu P. O. W. pod Lidzbarkiem.

Lidzbark

Przed czterema laty po raz pierwszy zetknęłam się z nazwą miasta „Lidzbark”. Uspokoiliam nieco, zawstydzona ignorancją rodzimego kraju sumienie, gdy kasjerka w „Orbisie” wykazała nie większą orientację w tym kierunku i dopiero po dłuższym wertowaniu grubej książki, wypisała odpowiedni bilet.

Dawniej wyjeżdżało się do Lidzbarka z dworca Gdańskiego, obecnie mija się tunel, przystaje na krótko w podmiejskich leśniskach, poczem pociąg rozwija większą szybkość, jakgdyby starając się czempredziej pozostawić za sobą monotonną płaszczynę, zrzadka urozmaiconą wstęgami rzek. Od Iłowa, t. j. od chwili, kiedy zaczyna się Pomorze, na widnokręgu ukazują się wzgórza w obramowaniu lasów i zaraz pejzaż zyskuje na malowniczości.

Niemniej malowniczy jest sam Lidzbark. Miasto niewielkie, liczące nieco ponad cztery tysiące mieszkańców, ale bogate w prześliczne okolice i dumne z niepośledniej roli, jaką dane mu było odegrać w historii.

Podług niektórych historyków, miasto Lidzbark miał założyć Otto von Lautenberg, który w roku 1334 był wójtem nowomiejskim. Nie ustalono, czy nazwał je Lautenberg, czy Lautenburg, jednakże wiadomo, że Krzyżacy na dobre rosgospodarowali się w niem. obwarowali je i osadzili swego wójta. Po dziś dzień zachowała się część ówczesnej baszty. Był tu również klasztor minorytów, lecz jedyną pamiątką, jaka po nim pozostała, jest pieczęć, którą przed kilkudziesięciu laty odnaleziono w sąsiedniej Lubawie.

Na najwyższym wzgórzu miasta wznosi się kościół, niezwykle starannie utrzymywany przez parafian. Wystawiony w roku 1409, mógłby niejedne przeżycia wiernych swoich opowiedzieć.

Po świetnym zwycięstwie pod Grunwaldem, Jagiello z wojskiem przechodzi przez Lidzbark. W 1531 r. Zygmunt I nadaje miastu przywilej targów i jarmarków.

Zjeżdżają więc z okolicznych wsi: Pokrzydowa, Jajkowa, Lembargu, Kruszyny, Brudzew, Nieżywiecia, Pluskowosów, Skępska, Pułkowa włościanie i handlują nabiałem, wzamian zakupując „miejskie” towary, a gawędząc przy szklance piwa na Starem mieście, omawiają bolączki i dzieje spokojnie płynących dni. Powoli, ale stale Lidzbark się rozwija; powstają tu cechy szewski, sukienniczy i krawiecki. Już nie potrzebują nadobne córuchny mieszczyk lidzbarskich jeździć

do „kraweczki” do Brodnicy. Aby tylko mieć talary w sakiewce, a można się przyodziać w mieście, aż ha!

Cóż, kiedy niedługo sądzonem było mieszkańcom ziemi Michałowskiej zażywać spokoju. Fatum zawisło nad tą połacią ziemi: w 1629 roku rozgrywa się bitwa ze Szwedami pod Górnem, o półtorej mili oddalonem od Lidzbarka. W r. 1659 dopiero znaczne oddziały wojska pod dowództwem Lubomirskiego przyczyniły się do oswobodzenia znękanego kraju. A wreszcie w r. 1660 zawarty pokój w Oliwie gwarantuje powrót do normalnego życia umęczonym mieszkańcom. Jak wielkie spustoszenia wyrządziły ciągle wojny, może świadczyć fakt, że w powyżej wy-



Okolice Lidzbarka.

Sekret prababek

Zazdrośnie przechowywane w szufladach staroświeckich sekretarzyków, pozółkłe ze starości kajeczki praktycznych gospodyń z ubiegłego stulecia, zawierają niejedną cenną radę. Między innymi receptę na pranie dywanów perskich, cennych kaszmirów w żółci wołowej, mającej zapobiegać załęganiu się moli.

Skuteczna recepta została wskrzeszona w postaci zmodernizowanej, przystosowanej do potrzeb współczesnych przez Lab. Chem. Farm. M. Malinowskiego, jako

MYDŁO ŻÓŁCIOWE
przeznaczone do prania jedwabi, cienkich skór i wełny.

**Apteka, Warszawa, Nowy Świat 31.
Lab. Chem. Farm. ul. Chmielna 4.**

Romantyczny zakątek z pod Lidzbarka.

mienionych wsiach było tylko trzydziestu dziewięciu włościan. Otucha wstąpiła w serca Polaków, może narazie będą mogli wrócić do normalnej pracy... Płonne były ich nadzieje. Na szachownicy dziejowej ludność pograniczna to pionki, przechodzące z rąk do rąk wytrawnych graczy...

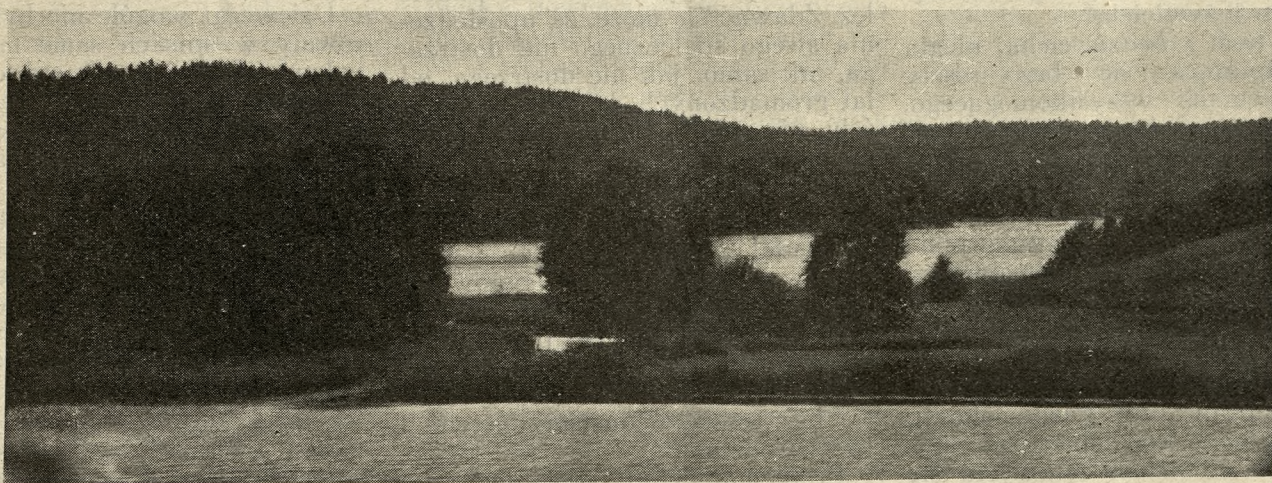
W r. 1702 król szwedzki Karol XII po zwycięstwie pod Pułtuskim, wkracza do Prus Zachodnich. Otarczają Lidzbark. Kto żywy ucieka przez rzekę Włę.

W r. 1772 Lidzbark przechodzi pod panowanie pruskie. Ileż to już razy zmieniano herb na ratuszu miasta. Teraz czarny orzeł pruski dumnie rozpostarł skrzydła. Niedługo przyszło mu spoglądać na rynek. W r. 1806 Lidzbark przyłączony zostaje do Wielkiego Księstwa Warszawskiego. Zaledwie zdołano powrócić do normalnego życia, gdy wojska

Napoleońskie wpadły do Lidzbarka w sam dzień Bożego Narodzenia. Właśnie włościanie w kościele śpiewali kolendę: „Chwała na wysokości Bogu i pokój ludziom dobrej woli“, gdy na rynku zadudniły konie wojaków francuskich. Pędem minęli kościół i dalejże gonić Prusaków i Rosjan. Przez szosę, aż pod sam Cибórz, wielki majątek ziemski, po dziś dzień pozostający w rodzinie Mieczkowskich. Koło mostu, opodal dworu, znaleziono nie tak dawno kości ludzkie; to szczątki ówczesnej bitwy. Generał Ney kazał jeńców zamknąć w kościele. Było ich z tysiąc Rosjan i koło pięciuset Prusaków. Uwięzieni chcieli spalić kościół i ratować się ucieczką. Ale wporę spostrzeżono kłęby dymu i kościół ocalono. Świątynię zdołano uratować, ale ciągle zmieniające się najeżdzy wojsk tak ogołociły nieszczęsne miasto, że po bochenek chleba

trzeba było w sekrecie na piechotę lecieć do sąsiednich Stroszew i płacić za niego trzy talary!

W 1815 roku car Aleksander I przejeżdża przez Lidzbark. Wreszcie kongres wiedeński przyznaje ziemię Michałowską Prusakom. Znowu czarny orzeł szczyty się swoją zdobyczą. Miasto wraca do pracy. Rozwija się. Proces germanizacji daje się gdzieś gdzieś we znaki, ale okoliczne dwory (Wlewsk, Kuszelewki, Cибórz, Podcibórz) to ostoje polskości. Każde powstanie odbija się echem o mury Lidzbarka. Niejeden mieszczanin cichaczem przypasał karabelę i przekradał się do stolicy. Po dziś dzień matki opowiadają dzieciom o szesnastoletnim bohaterze, Teofilu Charpkiewicz, który w 1831 roku, właśnie miał skończone szesnaście lat, kiedy doszły go słuchy o powstaniu, o Chłopickim, o „Warszawiance“. Widocznie ambitny chłopak nie mógł zapomnieć razów, otrzymanych w szkole od nauczyciela Prusaka...



Jezioro Lidzbarskie.

Wiedział, że rodzice nie pozwolą mu, będą tłumaczyli, zamkną, a nie puuszczą. Wyczekał odpowiedniej chwili: w domu wesele, muzyka różne obertasy, siostra w ślubnym stroju tańczy z ulubieńcem, a brat jej w sąsiednim pokoju pakuje zawiniątko i zaraz pójdzie w świat dzieciną piersią zdobywać wolność ojczyzny! Przestańcie basetle tak wesoło wygrywać, tam, przez progi rodzinnego domu przeszedł bohater męczennik... Pojmano go i tak pokaleczono, że rodzice tylko po sakiewce poznali jedynaka...

W Lidzbarku niema pomnika te-

go bohatera, ale jest polska szkoła, gdzie 700 dzieci uczy się z radością. Pomnik poległych w boju o niepodległość postawiono opodal jeziora — kraszy Lidzbarka. Ciągnie się ono trzy kilometry. Obramowane z trzech stron lasami, ze strony miasta graniczy z przepiękną starą aleją, wysadzoną drzewami. Aleją tą dochodzi się do Leśniczówki i do terenów, przeznaczonych dla obozów P. W. Wymarzony teren do wypoczynku letniego! Powietrze przeczyste, lasy iglaste, ciągnące się hen, kilkadziesiąt kilometrów. Jezioro, na niem nowowypudowana pływalia

o trzech basenach, kajaki, rybołówstwo. Nie dziw, że przez cały sezon letni polana ta gości jeden obóz za drugim.

Zjazd letników w okolicy Lidzbarka jest coraz większy. W niektórych okolicznych majątkach, jak Podcibórz, Wlesk i t. d. podejmowani bywają letnicy. Nietylko warunki klimatyczne przyczyniają się do re-perowania nadwątlonego organizmu mieszczuchów; niemniej dodatnio oddziaływa „klimat serdeczności“, jakim odznaczają się tutejsze dwory.

Aniela Waldenbergowa.

To co najważniejsze

Korespondencja własna „Bluszczu“.

Korespondencja własna „Bluszczu“.

„O! East is East, and West is West, o and never the twain shall meet...”

R. Kipling.

O, Wschód jest Wschodem, a Zachód Zachodem i nie ich nie może zespolić...

W życiu Hinduski — macierzyństwo przez małżeństwo.

W tem cały świat. Wszystkie jego wielkie i najmniejsze sprawy. Małżeństwo zresztą, jak wiadomo, nie z upodobania, lecz z nakazu i wyboru rodziców. Sentyment, uczucie pod uwagę nie bierze się, przyjsz ma na zawołanie, po ślubie.

Zresztą, gdy dla każdej kobiety Zachodu sprawa zamążpójścia była i będzie zawsze kwestją niemniej pierwszorzędną, dla Hinduski jest sprawą „być albo nie być“. Początkiem i końcem jej życia. Dalej, gdy dzieciństwo „białej“ wolne jest przynajmniej od troski, czy medytacji na temat przyszłego zamążpójścia, gdy umysł jej i uwaga pochłonięta jest całkowicie nauką i zabawą z rówieśnikami, mała Hinduska ledwo tylko zaczyna rozumieć, co do niej się mówi, słyszy bez końca: „twój przyszły mąż“, lub „jaką być musisz i będziesz dla męża swego i żywiciela“.

Musi być i będzie cicha, uległa i roztapiająca się bez reszty w promieniach wszytkomogącego, wszytkoposiadającego, na wszytko siebie rozgrzeszającego samca swego.

Wszystko jedno, czy wyznaczony jej przez bóstwa („intuicyjnie“ wyczuty), czy przez rodzinę oblubieniec posiada trzy razy więcej lat, co ona, jest ułomny, leni, czy utracusz ostatni!

Ach wiemy, wiemy i słyszymy o tem w Europie przy każdej okazji, współczujemy, lecz dopiero na miejscu, przy osobistym zetknięciu się z kobietą kolorową zdajemy sobie

sprawę z istotnego jej życia. I... doznajemy leciutkiego rozczerwiania. Zdawałoby się, bowiem (tam w Europie!), że maltretowana Hinduska musi wyglądać, jak samo nieszczęście. Że stygmat cierpienia nie schodzi z ciemnej, zasmuczonej jej twarzy, że wobec tylu aksjomatów niedoli (popychana, poniewierana, zamknięta na cztery spusty, zawsze na szarym końcu i t. d.) nie wie, co to radość istnienia. Bo i z czegoż (myślałam w Europie!), ma się znowu cieszyć?

Tymczasem Hinduska wygląda najnaturalniej pod słońcem. Cieszy się z byle czego, zawsze wszytkiego ciekawa, stroi się, figluje, gdy młoda w gronie domowników, kocha swoje i wszytkie dzieci świata, przepada za lakociami, kwiatami, fatałaszkami; duszę odda za każde widowisko uliczne czy procesję, na jarmark lub uroczystość religijną pobiegnie, żeby nie wiem, ile mil! A gdy los łaskawie zsyła jej młodego, zdrowego chłopca, obdarzy ją paroma synami, gdy może się poszczycić w gospodarstwie swem wołem lub kilkoma kozami, nie spotka się chyba istoty bardziej zadowolonej z życia na tym padole łez. Zdawać się może, że upośledzenia swego społecznego nie dostrzega, tak samo, jak nie dostrzega, od lat gromadzonych, brudów w obejściu, nie czuje woni rozkładających się dokoła odpadków.

Odjąć, bowiem, Hindusce wszytkie powaby życia, zakrawa na przesadę! Duma rodzicielki, wdzięczna w tym kraju miłość synowska, ciche, a takie kobiece radości wszytkich spraw dziennych przy własnym ognisku, czy to tak mało dla pewnego typu kobiet, zasklepiających się bez reszty w macierzyństwie i kręgu rodziny?

Problem zbyt wczesnego zamążpójścia, oraz żalosnych konse-

kwencyj podobnego stanu rzeczy, stary chyba, jak góry Himalajskie. niejednokrotnie absorbował umysły reformatorów społecznych, lecz wrzawa polemiki, która rozgorzała wokół tego zagadnienia w latach ostatnich, która doprowadziła wreszcie per fas et ne fas do wydania dekretu*) w r. 1925 i do oficjalnych sprawozdań z tej dziedziny reform w r. 1931, świadczy o uzdrowieniu psychiki narodu hinduskiego.

Rewizja panujących od wieków, karygodnych obyczajów małżeństwa dzieci, zbyt wczesne macierzyństwo, upośledzenie wdowy i t. d. sięgnęła aż po korzenie sprawy. Dawniej było inaczej! Do zamknięcia Hindusek w zenasas (haremach), do zaślubiania ich w kołyskach, przyczynił się w Indjach dopiero najazd muzułmański w wieku XI i ogrom nieszczęść, jaki był wówczas spadł na naród hinduski. Aby uchronić nieletnie swe córki przed samowolą i rozpustą najeźdźców, zaczęto nagwałt wydawać je zamąż w niemowlęctwie. Już w kilkadziesiąt lat po inwazji z północy, w całych Indjach z trudnością odnaleźć można było... pan-ny na wydaniu.

Dziewcząt wogóle nie było: figurowały w spisach same mężatki i wdowy. Indje przed erą chrześcijańską, Indje potężne i wolne w pierwszych wiekach chrześcijaństwa nie znały, co to wczesne małżeństwo.

Księgi Wedy, spełniające rolę Starego Testamentu, zakazują wręcz małżeństwa nieletnich. Znaną była powszechnie w starożytnych Indjach uroczystość „Swayamvara“, gdy wysoko urodzone, zamożne

*) Sarda Child Marriage Act — ustanawiający minimalny wiek nowożeńców 14 lat, zabraniający małżeństwa starców z dziećmi, zezwalający na powtórne małżeństwo wdowy.

Hinduski same wybierały sobie małżonków, same decydowały o przyszłym swym losie.

Zdarzały się często również małżeństwa w sekrecie, gdy rodzice się przeciwstawiali woli córki. Tak postąpiła przezorna i mądra *Savitri*, hinduska *Alceste*; tak samo boska, łagodna *Sita*, prawzór cnót i zalet rodu niewieściego w Indjach, bohaterka nieśmiertelnej „*Ramajany*”.

Wbrew woli rodzica swego, króla Janaka z *Videhas*, wybiera wśród licznych pretendentów do ręki niebiańskiego *Rame*, i dzieli z nim tragiczną epopeję żywota, wierna jak *Penelopa*, ścigana okrutnie przez los i nienawiść ludzką. W odległych tych, a mitycznych czasach, córki Indyj, cieszyły się wielkimi przywilejami, ukazywały się u boku mężów swych podczas turniejów i wypraw.

Zresztą, mimo surowych obyczajów Islamu, który rozsiadł się władnie na półwyspie hindostańskim, Muzułmanki posiadały daleko wcześniej od swych siostrzyc europejskich, pełne prawo własności i dziedzictwa. Imperatorowe zaś, małżonki wielkich Mogolów, słynęły z udziału w życiu publicznym i niemałych wpływów, jakie wywierały na tok polityki przy dworze. Słynęły również z krasy i niemałych intryg, którym się oddawały z zamiłowaniem. Najślawniejsza z pośród nich *Mumtaz i Mahal* „najukochańsza żona maharadży”, towarzyszka wypraw wojennych i powiernica wielkiego budowniczego *Szach-Jehangira*, zaszczycona była po śmierci, (1870) jedynym chyba w dziejach ludzkości, podobnie wspaniałym mauzoleum miłości (*Tadż-Mahal*).

Złota era wpływów kobiecych w Indjach kończy się jednak rychło.

Uległość, łagodność charakteru Hindusek zostaje wyzyskana. Do łańcucha niewoli, opasującego jej życie, raz po raz dodaje się nowe ogniwo.

Średniowiecze daje pierwszy impuls do rewizji kostniejących praw i obyczajów. Znany badacz sanskrytu (wiek XVI), twórca nowej sekty religijnej (*Arya Samaj*), istny Chrystus Indyj, *Rishi Sarawathi*, ostro występuje przeciwko małżeństwu nieletnich dziewcząt, wyznaczając najniższą granicę wieku lat 12.

Renesans Indyj (wiek XIX) przynosi znowu kilka wybitnych postaci reformatorskich, w ich liczbie i kobietę *Panditę Ramabai*, uczoną i społecniczkę, która otwiera oczy rodakom swym na nędzę moralną wdowy hinduskiej i oplakane skutki wczesnego małżeństwa.

Chrześcijaństwo zaszczerpione na południu Indyj (wiek XVI) podno-



Tańsze pranie-

łatwiejsze pranie

Co za ułatwienie! W Nowym Luxie pierze się wszystko na zimno i tanio, gdyż duża paczka kosztuje zaledwie 70 gr., mała zaś 40 gr.

NOWY LUX

DAJE NATYCHMIAST PIANĘ W ZIMNEJ WODZIE

si granicę wieku panny młodej do lat 13—14; Hindusi, plemienia *Sikhów*, należący do najwyższych kast, nie wydawali zresztą nigdy zamąż dziewcząt w wieku poniżej 16 lat.

Tylko *Bramini*, najbardziej konserwatywni i zaślepieni w przestrzeganiu tradycji religijnych, obstają dotychczas przy małżeństwie dzieci. To znaczy, że ceremonia zaręczyn dzieci z wyboru rodziców równoznaczna jest z późniejszą ceremonią istotnych zaślubin, w razie bowiem śmierci narzeczonego, dziewczyna pozostaje wdową na całe życie...

Reformatrzy dzisiejszych Indyj obstają przy twierdzeniu, że małżeństwa w kołyskach należą już do przeszłości.

W jakiej jednak proporcji reforma ta odpowiada istotnemu stanowi rzeczy, trudno, a prawie niemożliwie skontrolować.

Czy odnośne instytucje, których pieczy powierzone są przestrzeganie paragrafów ustawy *Sarda Act*, są w stanie skontrolowania 350 miljonowej rzeszy, zamieszkującej terytorjum dwudziestokrotnie większe od Anglii?

Osobiście spotkałam nieraz „młodszą”, która miała mieć najmniej lat 13, a wyglądała na 11-letnie, zachudzone dziewczętko.

Zresztą ścisłość w określeniu wieku w Indjach nie istnieje. Hindusi poprostu nie cierpią tego drażliwego pytania i dają odpowiedzi wręcz fantastyczne. Zjawisko to jest powszechne nie tylko wśród młodych i kobiet, lecz właśnie wśród mężczyzn i leciwych.

Zabobonny lęk przy ujawnieniu prawdy, trudności znalezienia pracy u „białych”, dalej, nowomodne „skrupuły”, gdy ma się ochotę na zafundowanie sobie młodocianej małżonki i t. d., sprawiają, że Hindus bez zająknięcia ujmie sobie dobrych kilka latek, a już tembardziej dziewczynie, jeżeli mając lat dziesięć, nie zostaje jeszcze zaręczoną.

Nieprawdopodobny galimatjas wynika z tego powodu przy spisach ludności, tembardziej, że i rejestracja urodzin nie może być przeprowadzona ściśle.

Jak wynika ze sprawozdań komisji kodyfikacyjnych, małżeństwa nieletnich zdarzają się wśród mas i po dziś jeszcze, szczególnie w okolicach *Madrasu*. Chodzi tu najczęściej o sprawy majątkowe, o interesa rodzinne, zdarzają się rzecz prosta i nadużycia woli dzieci.

Zresztą, by małżeństwa w Indjach zawierane być mogły normalnie, należy przede wszystkim, aby życie młodzieży hinduskiej uległo zasadniczej przemianie, aby oświata przenikała do mas (5% piśmiennictwa wśród mężczyzn, a 5% na tysiąc wśród kobiet), a moralność, która propaguje z jednej strony małżeństwa nieletnich i obojętnym okiem spoziera na seksualną deprawację smarkaczy, z drugiej wyklucza normalne zupełnie obcowanie dzieci odmiennej płci ze sobą, została gruntownie poddana rewizji. Nieprędko to jednak nastąpi!

Hanna Skarbek - Peretjatkowicz.

(d. c. n.).

Wędrowki górnośląskie

Kiedy się idzie od Wielkich Piekar w kierunku cynkowni w Radzionkowie i kopalni węgla w Buhaczu, przez teren dosyć górzysty, z trzech stron na horyzoncie dymią się kominy i czernieją wyniosłe hałdy.

Z prawej jeno ręki, na niezbyt dalekiej górze widać gromadkę poruszających się ludzi. Zagadka łatwo się wyjaśnia: to bezrobotni sypią „kopiec wolności”. Pracują partjami po 50 osób, zmieniając się co dwa tygodnie, gdyż praca tu jest takim luksusem, jak w przedwojennych czasach urlop. Wśród armii bezrobotnych nie można nikogo specjalnie wyróżniać, dając mu stałe zatrudnienie. Te 3 złote dziennie w ciągu dwóch tygodni pozwolą załatać niejedną bolesną lukę w domowym gospodarstwie.

Na drodze często spotykam ludzi, ciągnących małe, podobne do siebie czterokołowe wózki, napelnione nawozem, narzędziami rolniczymi, jeśli zaś to będzie szosa, to węglem. Oto na spotkanie idzie umorusany, wychudzony i obdarty człowiek, zgięty pod ciężarem niesionego worka. Pytam go, co niesie.

Obrzuca mnie nieufnym spojrzeniem, zdziwiony i nieco zaniepokojony moją indagacją.

— Węgiel.

— Czemuż pan nie wiezie na wózku?

— A jak się niema nawet wózka? — odpowiada, ruszając dalej.

Na rozstaju przystało dwóch, gawędząc sobie. Zatrzymuję się, nawiązując rozmowę.

Ten, który ma na wózku motykę, szpadel i grabie, jest zamożny, dostaje bowiem 70 zł. emerytury miesięcznie, dzierżawi morgę pola, ma skrawek swojej ziemi. Oczywiście uprawia ręcznie, skądżeż bo konia?

Ale ten drugi, z taczkami, nie dostaje emerytury, zapomogi zaś pobiera 16 zł. miesięcznie. W domu jest ich sześcioro: on z żoną i 4 dzieci.



Bezrobotni z wózkami do węgla.



Plonący bieda - szyb.

— Jak więc życie za te pieniądze? — pytam, wstrząśnięty do głębi.

Robi ramionami ruch, oznaczając: „czy to się nazywa życie?”

— Ta zapomoga, aby starczy na proszek do prania, żeby koszula była czysta na grzbiecie i wszy nie zjadły. Pozatem... Dożywianie, czasami coś w naturze dadzą. Trochę się węgla ueziera na hałdach...

Patrzę, ma worek, a w nim czarne odłamki drzewa z kopalni i cośnieco węgla.

— Często pan chodzi po węgiel?

— A codzień. W lecie zbiera się, aby było czem w domu zapalić, w zimie, aby nie zmarznąć. Jak jest ciepło, to nie tak przykro głodować...

I potem, patrząc ponad moją głowę przed siebie, zaczyna w oszczędnych słowach:

— Ja nigdy nie miałem dobrego życia. Wyszedłszy ze szkoły, skończyłem zaledwie lat szesnaście i już trzeba było pracować na utrzymanie

nie rodziców. Potem przyszło wojsko. Wojna zastała mnie w czynnej służbie. Po wojnie znów te rozruchy, powstanie. Wziąłem karabin i jechałem na Niemca. Potem zacząłem pracować, ożeniłem się, aż tu ten kryzys i już dwa lata jestem bez pracy. W Polsce... ech! — machnął ręką, jakby strząsając coś z powieki i odwrócił się, odchodząc.

Przywołałem go, wciskając monetę w rękę. „Proszę, żołnierz może wziąć od żołnierza”. Ale cóż to znaczy ta jałmużna? Przecież przez to nie będzie miał ani przez jeden dzień „dobrego życia”...

Przed kopalnią ruch. Ciągą furmanki, ładowane węglem. Niektóre przyjeżdżają aż z Częstochowy. Widocznie kalkuluje się. Na miejscu płacą 29 zł. za tonnę węgla. A u bezrobotnych na bieda-szybach można dostać nawet po 10—12 złotych. Jadą małe wózki, ciągnięte przez ludzi i też naładowane węglem.

Znamienne metamorfozy zachodzą



Piękna ślaczka w Wielkich Piekarach.

dzą z hałdami. Starsze z nich, porośnięte już zielskiem, zostają coraz powszechniej wzięte pod uprawę. Podobnie dzieje się z ziemią, zrytą pod odkrywki.

Te kupy ziemi, te doły zostają zrównane, zasypane w ciężkim trudzie i cal po calu zamieniają się w kartofliska, przetykane kapustą, lub poletka żyta. Tak to bezrobocie przywraca Matce-Ziemi jej poprzednie oblicze, sponiewierane przez chciwość człowieka: w podobny sposób odbywa się powrót na rolę, pojednanie ze wsią. I jeśli tylko nasze sfery rządowe znajdą środki na zaspokojenie głodu ziemi to odciążenie przeludnionego Śląska i powrót pewnej ilości bezproduktywnych bezrobotnych (na dzień 11. VIII. Śląsk liczył 88.746 zarejestrowanych bezrobotnych) do pracy na roli będzie zwycięstwem niezwykle doniosłym w skutki.

Skromne narazie początki (maj.

Kopciowice w pow. pszczyńskim) zostały już podjęte.

* * *

Z Wielkich Piekar do Królewskiej Huty jedzie się tramwajem „tranzytką”. Przed granicą wchodzi nasz urzędnik celny i plombuje oba wyjścia z wagonu. Teraz, bracie, choćbyś zdychał, wyjść ci nie wolno, póki inny celnik, już znów na polskim terytorjum, plomby z drzwi nie zdejmie.

Jest coś symbolicznego i wstrząsającego zarazem, kiedy tramwaj przekracza ową „granicę”. Tuż za pasiastym szlabanem, w Bytomiu, już obce mundury, już czarna, wykrzywiona konwulsyjnie swastyka na krwawym tle, już napisy, nazwy ulic, szyldy, chorągwie — niemieckie. A przecież aż dławi w gardle, kiedy się czyta te nazwiska na szyldach. Bo czyż ci Maciuga, Horoba, Schikora, Schwider, Kuzior,



Wydobywanie i przesiwanie węgla z bieda - szybu.



Obserwatorzy i doradcy przy kopaniu w bieda - szybie.

Fragment kopalni węgla „Bukacz”.

Gmirek, Czypionka, Waluscha i milion innych ze Śląska Opolskiego, to Niemcy? Czy dobrowolnie wznoszeniem ręki salutują obcy im porządek rzeczy? I jakaż sprawiedliwość rzuciła ich na pastwę dalszego, jeszcze bardziej wytężonego i różnorodnie prowadzonego wynarodowienia?

Tu, między Bytomiem a Królewską Hutą (Królhuta tu mówią) i wszędzie, jak okiem sięgnąć na widnokręgu, kominy fabryczne i, rzadziej, wieże kościelne, odpowiadnik hasła „módl się i pracuj”.

Tu wszędzie tory kolejowe, pociągi, doskonałe szosy, wielki ruch samochodowy i motocyklowy, hałdy, dym, para i, co najdziwniejsze, wszędzie uprawne pola i zielen, zwycięsko wciskająca się na każde wolne miejsce, chociaż już jutro

może zaleje je szlaka, zasypie żużel lub odłamki płonej skały.

* * *

Wieczorem znów jestem w Piekarach. Odpust się skończył, odpłynęły tłumy pątników. Ale miasteczko pozostaje nadal ruchliwe. Przy ścianach domów stoją gromadki mężczyzn. To ci sami, co rano, stoją tak cały dzień, bo mają nadmiar wolnego czasu, są bezrobotni.

Wchodzę do lokalu, który w oknie ma duży napis: „Dzisiaj wielkie świniobicie. Świeże kiszki”.

Kanciasta kelnerka pyta, co zamawiam. Wymienia to, to i tamto, także „Eisbein”. Pytam, co zacz jest?

Pół na pół z polską po niemiecku tłumaczy, że to są wieprzowe, gotowane kolanka z grochem i kartoflami. Patrzcie, państwo, a ja myślałem, że to nogi na zimno w galarecie!

Ha, niech będę wieprzowe kolanka. W oczekiwaniu na przyobiecany smakółek czytam zawieszzone na widocznych miejscach dwuwiersze: „Witam was, goście mili, niech się każdy tu posili”, lub też „Każdy co piwo i wódkę pije, zawsze zdrow i długo żyje”. W te pędy zamówiłem duży kieliszek wiśniaku, i oto paręm się z górą mięsa, popijając piwem. Czuję, że duch kolonizatorów tej krainy przenika mnie doszczętnie. Nagle jakiś typ z poharataną szczęką zjawia się opodal stolika i oznajmia, że teraz ku uciesze zebranej publiczności pokaże sztukę prze-



Śluzaczki w procesji.



Niesienie fretronu.

bijania policzka „tom długom szpilkom“, a potem zapaści sobie sondę tym patykiem aż do żołądka... Oczywiście też bezrobotny.

Wprawdzie krew mnie nie prze-
raża, widziało się jej dość, ale kie-
dy magik zaczął z charakterystycz-
nym bulgotem i mlaskaniem łykać

drewno, wyziębły „Eisbein“ sta-
nął mi kolkiem w gardle.

Jerzy K. Maciejewski.

Echa Poznańskie

Kongres, cocktail, scena i egzotyczny kwiat.

Przez kilka dni (od 28—30 sier-
pnia) żył Poznań pod wrażeniem Mię-
dzynarodowego Kongresu Tomisty-
cznego, który został zorganizowany
pod protektorem Prymasa Kard.
Hłonda. Na wieczorze powitalnym
w Bazarze, w przeddzień otwarcia
kongresu, przyjmowały panie zie-
mianki wielkopolskie przybyłych fi-
lozofów — przedstawicieli szeregu
uniwersytetów europejskich.

Tonąca w prześlicznych daljach
sala i estetycznie nakryte stoliki
stworzyły domowy, serdeczny na-
strój. Ascetyczne, zamysłone twarze
przybyszów rozjaśniły się uśmie-
chem w towarzyskim rozhovorze.
A purpura kardynalska na tle bia-
łych dominikańskich habitów odbi-
jała radośnie i okazała.

Jeśli sądzić z frekwencji na wy-
kładach w uniwersyteckich salach—
kongres udał się. Zdawałoby się, że
abstrakcyjne tematy filozoficzne nie
pociągną mas...

Snobizm jednak świecił wielkie
triumfy w owe dni kongresowe.
Szczególnie kobiety tłoczyły się ma-
sowo na wszystkie bez wyjątku wy-
kłady, choć niektóre z nich, zwłasz-
cza, wygłaszane w obcych języ-
kach, nawet od filozofów wymaga-
ły dużego wysiłku myślowego. Wi-
działam piętnastoletnią pensjonarkę,
co bohatersko wysłuchiwała wykla-

du na temat „Le droit naturel du
mariage“, zmęczonem okiem bada-
jąc, czy prelegent ma jeszcze wiele
kartek rękopisu... Zachęcone nie-
zwykłością tematów szły do go-
ścińnej „alma mater“ poznańskiej
nawet te osoby, dla których tomizm
jest bardziej mglisty, niż chińska li-
teratura.

Kulminacyjnym punktem obrad
kongresowych był przemyślany i o-
ryginalnie ujęty wykład Jacques
Maritain'a, profesora Instytutu Ka-
tolickiego w Paryżu. Mówił na te-
mat: „L'idéal historique d'une nou-
velle chrétienté“. Zanalizowawszy
duszę człowieka średniowiecznego
i jego stosunek do religii, przeszedł
do czasów dzisiejszych i przeprowadził
na tle historycznym subtelny a-
nalogję psychologiczną. Wykład ten
odbywał się w szczelnie wypełnionej
wielkiej auli Uniwersytetu, a prof.
Maritain schodził z mównicy zega-
ny burzą entuzjastycznych okla-
sków.

W ramach tego poważnego kon-
gresu umieszczono także posiedzenie
Sekcji Kobięcej z referatem p. Dr.
Włodkovej z Krakowa. Referat ten
odpowiadał na pytanie: „Jak kobie-
ta - Polka może przyczynić się do
rozwoju nauki katolickiej“. Znać by-
ło, że nierówny poziom słuchaczek
utrudniał prelegentce należyte wy-

czerpanie i naświetlenie tematu.

Zresztą chodziło na tem zebraniu
raczej o zbiorowe, silne zadokumen-
towanie, że polskie kobiety muszą
twórczo pracować na polu nauki
katolickiej. Wyrażono to w przyję-
tej rezolucji, której streszczeniem
jest myśl i trzeba pogłębić pedago-
giczną, apologetyczną i naukową
pracę wśród kobiet katolickich.

Bardzo sympatyczną niespodzian-
ką było na tem zebraniu przybycie
prof. Maritain, który po wykładzie
przedstawił w sposób interesujący,
jak kobiety francuskie pogłębiają
swoją wiedzę religijną w kółkach
samokształcenia. A potem, z przysła-
wioną elegancją Francuzów, nasz
paryski gość wyraził serdeczne po-
zdrowienia od pań z nad Sekwany,
przyjęte hucznymi oklaskami.

Ale nietylko na kongresie tomi-
stycznym objawił się żywiołowy
pęd Poznania do kultury i wiedzy.
W Poznaniu zaczyna się ruch.
Sprawcą tego ruchu (in spe) jest
Związek Zawodowy Literatów, któ-
ry powołał do życia przedziwny,
niebывały „Cocktail“ artystyczny.
Bo oto stał się inicjatorem (dotych-
czas szczęśliwym, choć plotkarze już
mówią o rozłamach) „Zrzeszenia
Związków Artystycznych“. Wycho-
dząc z założenia, że twórczość lite-
racka może kwitnąć jedynie w śro-

dowisku o silnie rozwiniętym życiu wszystkich dziedzin sztuki — zmobilizował do wspólnego wysiłku zarówno malarstwo jak i plastykę, muzykę, teatr i literaturę wszelkiego typu.

Do nowego Z. Z. S. weszło wiele (czy nie za wiele?) instytucyj i stowarzyszeń, reprezentujących wszystkie powyższe gałęzie twórczości artystycznej. Siedzibą Zrzeszenia jest odnowiony Pałac Działyńskich z piękną, stylową salą, w której począwszy od połowy października odbywać się będą „Czwartki Literackie”. Będą one zaprzeczeniem nagminnie ostatnio rozpanoszonych kabaretów, które pod firmą „cyganerii”, zwykle przemycają pornografię.

W salonach Pałacu Działyńskich inteligencja poznańska spędzi niejedną wieczór w atmosferze kulturalnej rozrywki. Oby tylko ta „walka

o kulturę” nie skończyła się na mobilizacji...

A teatry?

Jesienny sezon w Teatrze Polskim rozpoczął 1-go września „Sulkowski” Żeromskiego. Wysilek rzetelny, wystawienie staranne. Dyrektor Boelke, jako Sulkowski, grał z dużą kulturą artystyczną i wyczuciem historycznego momentu sztuki. Nade wszystko zaś działa z wiecznie równą siłą czar języka Żeromskiego. Zda się luźne zdania, bez kompozycji, ani precyzyjnego wykończenia, a jednak w tak harmonijną splecioną całość, że każą zapomnieć o braku dramatycznego nerwu w sztuce, która jest raczej bardzo żywo napisanym fragmentem powieści bohaterskiej.

Po tak „żelaznej” inauguracji oczekujemy wielu pięknych wieczorów w Teatrze Polskim.

Teatr Nowy ciągle jeszcze nie

wchodzi w zwykłe tempo sezonowych przedstawień. Jeszcze żegna się z „maruderami” ogórkowych tygodni, wystawiając karmelkowe komedijki.

W popularnym poznańskim „Kaktusie” nowe stoliki i nowe piosenki w sobotni wieczór (1 września) zrobiły ruch nielada. Kaktusowe dancingi cieszą się dużym powodzeniem (kolacja cukrowa dwa złote. Za drogo?) Po teatrze, po kinie, po zbyt wcześnie zakończonych imieninach, czy po raucie na cześć wojewody, żegnającego Poznań — przytula wszystkich swymi gościnnymi listeczkami uroczy kwiatek egzotyczny, wabiący kolorowym światłem spóźnionych na Placu Wolności przechodniów.

Ciesz się „Kaktusie”, póki czas, bo i twojej sławie kres pisany w przepięknej księdze... mody.

Zofja Karczewska.

Najmilszym przyjacielem
jest dobra książka

Największą ozdobą każdej biblioteki
jest pięknie wydana książka

Najdostępniejszą rozrywką
jest tania książka

Dobre, piękne i tanie książki
wydaje Tow. Wyd. „Bluszcz”

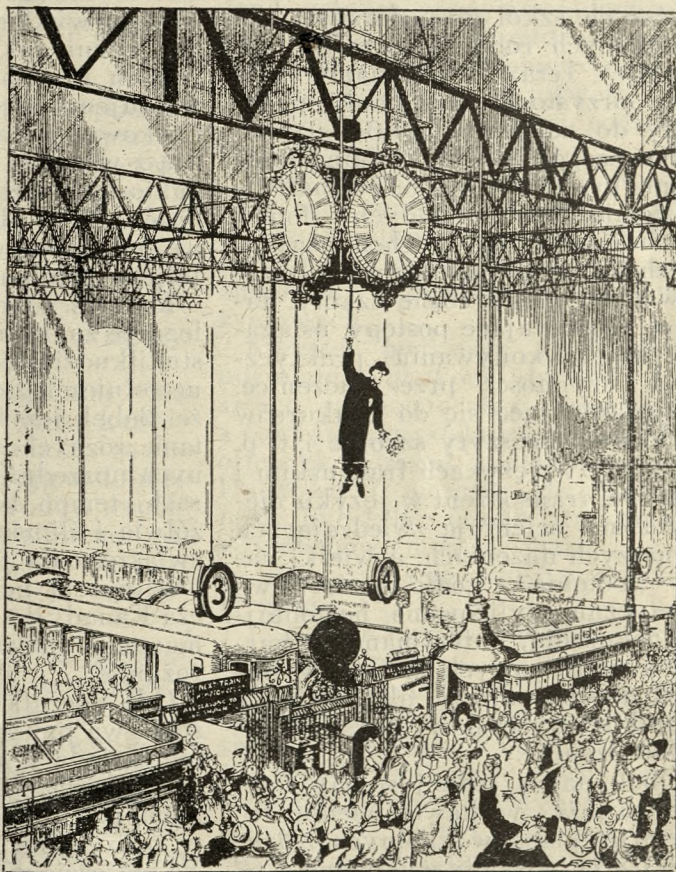
Ostatnio ukazała się książka
Jadwigi Kiewnarskiej p. t.

Najdziwniejszy z romansów

Pani Sand

Do nabycia we wszystkich
księgarniach
Cena 6 złotych

Humor u obcych



— Nie, panie posterunkowy. Za nic na świecie nie zejść „Ona” kazała mi na siebie czekać pod zegarem.

(Marianne).

Międzynarodowy kongres gospodarczego kształcenia kobiet w Berlinie

Przyjeżdżamy do Berlina. Od 18 Sierpnia począwszy, zaczynamy już zjeżdżać się w Berlinie, chociaż otwarcie Kongresu wyznaczone jest dopiero na 2- b. m. Stajemy prawie wszyskie w St. Xaveriusstift, ogromnym pensjonacie katolickim, prowadzonym przez zakonnice, które osiągnięte z pensjonatu dochody przeznaczają na utrzymanie 80 bezrobotnych inteligentów.

Pokoiki mamy bardzo wesołe, ciche, czyste, w głębi ogrodu. Płacimy za mieszkanie i śniadanie po 2 m. 50 f., co przeliczone na kurs czeków dla podróżnych wynosi za ledwie 3 zł. 80 gr.

Kilka spośród naszej delegacji, liczącej 20 osób, przyjechało wcześniej, bo mamy urządzać wystawę związaną treścią z kongresem, a przygotowaną do najdrobniejszych szczegółów w Warszawie pod kierunkiem państwowego seminarjum dla nauczycielek gosp.

W przeciwieństwie do tej, którą zorganizowałyśmy 7 lat temu w czasie ostatniego kongresu, odbytego w Rzymie, ma ona charakter naukowy, ilustrujący jedno z zagadnień kongresowych.

Rzymska wystawa stanowiła pokaz kulinarnego kunsztu naszych wyższych szkół gospodarstwa, artystycznych robót, fotografii i albumów. Teraz wystawiamy metody przystosowania nauki przyrody do nauczania gospodarstwa.

Poszczególne ośrodki zainteresowania przedstawione na rozmaitym poziomie, modele małych domowych laboratoriów chemicznych, niezbędnych dla pań domu, a opracowanych przez różne szkoły, tablice, ujawniające postępy, osiągnięcia przy wykonywaniu praktycznych czynności przez uczennice, przygotowujące się do konkursów sprawności, zeszyty szkolne i t. p.

Napisy w językach francuskim i polskim, transparent w języku niemieckim, orjentują zwiedzających w naszych dążeniach, a wielki napis „Polonia“, godło państwowe estetycznie stylizowane, harmonijna dekoracja, utrzymana w barwach państwowych, prosta w linjach, trochę surowa, ale zgodna z charakterem wystawy, zyskuje ogólne uznanie.

Obok nas z jednej strony *Czechosłowacja* wystawia wielkie fotografie gmachów szkolnych, z drugiej *Italja* — roboty wykonane w 67 różnorodnych technikach, poczynając od pajęczej cienkości koronek, kończąc na haftach szpagatem i szmaciakach o bardzo wysokim poziomie artystycznym.

Danja wystawia bardzo ciekawe okazy domowego farbiarstwa, odтворzonego przez p. Larsen, na podstawie studjów nad księgami, pisanymi w XVI stuleciu i poszukiwań już ginących przepisów wiejskich.

Wyniki tych badań dają szereg barw nieporównanej piękności. Np. barwienie wyciągiem z wrzośu, z dodatkiem indyga w różnym natężeniu, daje około 20 różnorodnych kolorów.

Niemcy przedstawiają bardzo umiejętnie i metodycznie teorię i praktykę obecnego ruchu społecznego, prowadzonego pod silną dyrektywą Hitlera.

Celem tego ruchu jest postawienie kobiety na stanowisku ośrodka rodziny, będącej podstawą państwa. A więc matka, dziecko, i nie tylko dziecko, ale dużo dzieci, ród, państwo.

Ztąd wynika dążenie do oparcia państwa na najzdrowszym elemencie chłopskim, tworzenie dziedzicznych zagrod włościańskich w rodzaju małych majoratów, rozwiązanie organizacji społecznych kobiecych i wcielenie ich ruchu społecznego do Reichsnärstandu, (Stan wyżywienia państwa) podkreślenie prostoty, połączonej z kulturą i opartej na wiekowej tradycji. Tego żąda Hitler, na to piszą się kobiety z wszystkich stanów, o tem opowiadają wszystkie mówczynie na trybunie kongresowej, to wykładają nam zarówno, mężczyźni, jak i kobiety na przyjęciach urzędowych. Na boku dowiadujemy się, że przywódczyni naukowej organizacji pracy schodzą z widowni np. Erna Majer, redaktorka jednego z wybitniejszych pism „Neue Hanswirtschaft“ (Nowe gospodarstwo) przeniosła swoje pole działania do Palestyny.

Kongres. Dwadzieścia cztery delegacje zagraniczne w liczbie dwustukilkudziesięciu osób, około 1000 uczestniczek z całych Niemiec, wieża Babel języków, radosne powitanie różnych znajomych, spotykanych uprzednio na innych Kongresach, tempo błyskawiczne życia, zółwia i ślimacza moda tłumaczeń, zwłaszcza na język angielski. Jest ona zresztą beznadziejna, bo uroczą Kanadyjka żali nam się, że tłumaczenia *wcale*, ale to *wcale* nie rozumie.

Od początku nasza delegacja zdobywa pierwsze miejsce, chociaż nie zasiada w prezydjum, bo składa się wyłącznie z kobiet, a te zdaniem p. Pillera, prezesa federacji w prezydjum zasiadać nie mogą. Na szczęście nie odebrano nam prawa przemawiania. Korzystam z tego i na inauguracyjnym posiedzeniu, jako przewodnicząca delegacji polskiej, dziękuję Niemcom za piękny dar dla powodzian, stanowiący

wydatną pomoc przy odbudowaniu zniszczonych gospodarstw (10.000 łózek, 144.000 sprzętów gospodarskich i tyleż rolniczych).

Popularność nasza zostaje przez to wystąpienie ustalona. Następują niezliczone prezentacje, brawa, gdy podchodzimy do jakiego stołu w czasie przyjęcia, prośby o zawiązanie stałych stosunków z „akademickim biurem międzynarodowej wymiany usług, oraz „stanem wyżywienia“, wreszcie prośba o wygłoszenie odczytu w radio podczas kongresu.

Nazajutrz rano zaczynają się narady w gmachu dawnego parlamentu pruskiego. Sala jest nabita. Przewodniczy p. Piller, zastępują go pp. de Vuyst (Belgja), Reich (Czechosłowacja), Rispoli (Italja), Schaefer (Niemcy), powołują jeszcze bezimiennych przedstawicieli Anglii albo Ameryki, bezskutecznie, bo niema mężczyzn z tych państw na sali, chociaż figurują na papierze.

Z pośród 99 proc. kobiet obecnych, ani jedna nie jest uznana, jako godna przewodniczenia, chociaż Niemcy proponowali powołanie przedstawicielki ich i Polski, ale prezes uznał, że to byłoby przeciwne dotychczasowym zwyczajom. PP. de Vuyst i Reich protestują na próżno, dotknięte w naszych ambicjach, przyjmujemy srogi los z równowagą duchową i pogodą.

Pisałam już w „Bluszczu“, jakie zagadnienia stanowiły treść obrad, powtarzać się więc nie będą, zaznaczę tylko, że pierwszy referat, obejmujący krótkie sprawozdanie z postępu w rozwoju nauki gospodarskiej wygłosiła E. Plancherele z Fryburga oraz p. Scholz-Kling, przywódczyni niemieckich kobiet, pełna uroku i talentu mówczynie, której nastawienie było wybitnie polityczne.

Sprawę przystosowania ogólnych danych naukowych do nauczania gospodarstwa w szkołach o rozmaitym poziomie, referowała p. dr. Petruschy z Niemiec, mając do opracowania 30 referatów, które, rzecz naturalna, musiały być ogólnikowo traktowane. Ponieważ sekcje nie pracowały oddzielnie, lecz miały przeznaczone po 1 plenarnym posiedzeniu, więc właściwy efekt narad, przedłużanych do nieskończoności tłumaczeniami na 2 języki i komunikatami prezydjum co do szczegółów wycieczek, przyjęć etc., był nikły i główną korzyść przynosi dopiero studjowanie aktów kongresowych.

Koreferentką w sekcji II były pp. Strasburger i Biernatowa z Warszawy. Referat ich wygłoszony w dwóch językach z życiem i swadą, zdobył wielkie uznanie.

W III-ej sekcji „Organizacji pracy i racjonalizacji gospodarstwa

domowego", główny referat przypadł mnie w udziale. Koreferentkami były pp. Naumann i Wendelma-th. Chaotyczne prowadzenie obrad przez słabo orjentujących się panów, nie ułatwiło bynajmniej wyciągnięcia odpowiednich wniosków z przedmiotów narad w ciągu tych dwóch dni, które powinny były doprowadzić do wyraźnych uchwał proponowanych przez referentki.

Wreszcie ostatni dzień, poświęcony szkoleniu zawodowego personelu gospodarczego opracowany był przez związek angielskich nauczycielek gospodarstwa domowego i referowany przez p. Bright z Londynu.

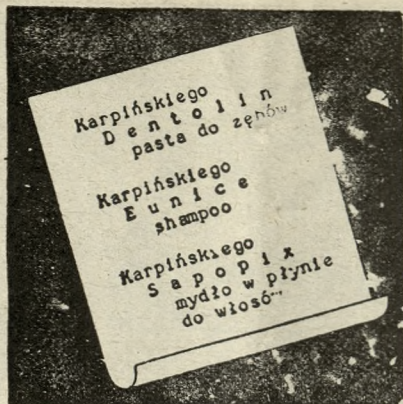
Wobec przeładowania o dyskusji nie mogło być mowy, gdyż w ciągu 4 godzin trzeba było jeszcze odczytać i przyjąć wnioski i odbyć naradę komitetu federacji dla wysłuchania sprawozdania i powzięcia decyzji, gdzie i kiedy następny kongres się odbędzie.

Wobec braku czasu wnioski również nie były dyskutowane, mimo, że dawały tylko ogólnikowe wskazania z pominięciem punktów oparcia dla działalności proponowanych przez poszczególne referentki. Interpelacja polskiej delegacji nic nie pomogła, bo przewodniczący zarządził głosowanie całej sali, nie tylko delegacji, których większość głosowała przeciwko wnioskowi, przeszły więc one większością obecnych, nie uprawnionych do głosowania.

Na zebraniu Komitetu p. de Vuyst rzucił projekt urządzenia następnego Kongresu w państwach północnych za 3-y lata, wobec tego, że obecny Kongres odbył się po przerwie 7-io a nie 5-cio letniej. Projekt ilustrowany był ponętym pomysłem odbycia Kongresu na statku, krążącym pomiędzy Kopenhagą, Sztokholmem, Oslo i Gdynią, ale nieobecne przedstawicielki państw o które chodziło, nie mogły się co do niego wypowiedzieć, treść przyszłego Kongresu również nie została ustalona.

Błędy, popełniane przez przewodniczącego Kongresu, wywołane były tem, że p. Piller po raz pierwszy uczestniczył w tego rodzaju Kongresie i niezupełnie się orjentował w kierownictwie.

W niniejszym opisie pragnęłam uwidatnić ewolucję, jaka się odbywa nie tylko w Niemczech ale i w niektórych innych państwach, w stosunku do stanowiska kobiety w domu i rodzinie, i w stosunku do poziomu gospodarstwa domowego. Jest rzeczą niewątpliwą, że państwa, reprezentowane na Kongresie Berlińskim, przykładają dziś nieporównanie wyższą miarę do sta-



nowiska rodziny w społeczeństwie, do znaczenia dobrze zarządzanego domu dla położenia ekonomicznego państwa i do roli przodującej, jaka w tej dziedzinie kobiecie przypada. Niemniej jest rzeczą również niewątpliwą, że podłoże tego stanowiska gruntuje się na obawie, jaką wzbudza konkurencja kobiety na giełdzie pracy zwłaszcza intelektualnej. W Niemczech, we Francji we Włoszech rośnie współrzędnie obawa przed depopulacją, stąd tryumfalne stwierdzenie przy otwarciu Kongresu, że ostatni rok przyniósł w Berlinie zwiększenie o 21 proc. liczby urodzin, uprzednio zmniejszającej się z każdym rokiem. Oto wynik piorunująco szybki Hitlerowskich haseł.

Czy mamy się niemi przejmować?

Tak i nie.

Tak, bo olbrzymia większość polskiej ludności rolniczej wymaga ulżenia w pracy i równocześnie podniesienia stanowiska kobiety i domu rodzinnego, aby zatrzymać na roli nie tylko słabszy umysłowo ogół, ale przede wszystkim zdolniejsze jednostki i przez to wpłynąć na szybszy rozwój kultury wiejskiej.

Nie, bo temu bynajmniej nie stoi na przeszkodzie wyższe kształcenie kobiet we wszystkich zawodach, do których się czują uzdolnione, i pełnienie tych zawodów współrzędnie z życiem rodzinnym, jak tego dowodzą przykłady na najwyższych stanowiskach naukowych.

Zatem, nie wpadając w przesadę, ani w jednym ani w drugim kierunku, konstatujemy: że Kongres gospodarczego kształcenia w Berlinie stanowił obraz zmagania się dwóch światopoglądów i dwóch dążeń. Dzięki temu był on tak bardzo żywy i impulsywny i rozszerzył podejście do zagadnień organizacji pracy gospodarczej i nauki gospodarstwa, odrywając je od szablono- nowego naśladownictwa wzorów. pracy fabrycznej, łącząc je z całokształtem życia rodzinnego i two-

ząc podstawy do nowoczesnej organizacji rodziny zdrowej i normalnej, jako niezbędnej komórki zdrowego i normalnego państwa.

Dla zapoznania osób, interesujących się treścią Kongresu z jego przebiegiem i z naszą wystawą projektowana jest w październiku sprawozdawcza konferencja w Warszawie.

Uchwały. I. Dotyczące ogólnie gospodarstwa:

Kongres stwierdza z radością, że uchwały powzięte na poprzednich Kongresach, zwłaszcza w Rzymie, pozostają w mocy i wprowadzane są w życie w coraz większej mierze.

Kongres uważa, że kobiety winny być kształcone tak, aby nie tylko posiadały wiadomości gospodarskie, niezbędne przy pełnieniu ich głównego powołania, ale żeby ponadto, były przejęte świadomością swych społecznych obowiązków, gotowe były bez zastrzeżeń spełniać zadania włożone na nie przez Boga i kształtować je zgodnie z wymaganiami czasu: wychować pokolenie przekonane o konieczności radosnego podejmowania walki o byt, do przezwyciężania trudów codziennego życia, do brania na siebie odpowiedzialności za samą siebie, rodzinę, naród.

Wychowanie takich ludzi wymaga gruntownych podstaw religij i charakteru, które mogą być dane jedynie przez uświadomione siły nauczycielskie, oddane sprawie całą duszą, zespolone ściśle z rodziną, kościołem, państwem.

II. Dotyczące naukowych podstaw gospodarstwa domowego.

Kongres uważa za właściwe, aby przy nauczaniu gospodarstwa posługiwano się wszystkimi dziedzinami nauki prowadzącymi do zrozumienia różnorodnych zjawisk życiowych.

Kongres podkreśla konieczność udzielania naukom duchowym i sztuce równomiernego stanowiska z naukami przyrodniczymi tak, aby człowiek pozostał panem istnienia. Duchowe i moralne dziedzictwo może być tylko wtedy utrzymane, gdy duchowo moralne wartości mają niezawodną wyższość nad materialnymi.

III. Dotyczące racjonalizacji pracy gospodarczej.

Kongres popiera techniczne i metodyczne zabiegi, przyczyniające się do odciążenia kobiet, tak, aby one mogły poświęcać dosyć czasu rodzinie, pracy społecznej i dla osiągnięcia pełnej dojrzałości i równowagi. Racjonalizacja nie może jednak niweczyć twórczej radości, ani zmniejszać szacunku dla najskromniejszych obowiązków codziennych. Nie może się też przyczyniać do rozwoju lenistwa, ale ma wyzwalać twórcze siły.

Rodzina stanowi najdoskonalszą jednostkę samorządną, w której dzieci mogą być wychowane w przyzwyczajeniu do pracy i w twórczej radości.

IV. Dotyczące gospodarczego szkolenia.

Kongres ustala bezcenną wartość gospodarczej pracy w rodzinie i wita z radością środki, zalecone do przywrócenia pracy gospodarczej jej wielkiego znaczenia obyczajowego i społecznego. Jako warunek podstawowy dla tak wysokiej pracy domowej, widzi powrót do życia rodzinnego, które stanowi jedyne środowisko, mające połączyć domowników z prawdziwą samorządową jednostką.

Praktyczne środki do osiągnięcia tego widzi w upodobnieniu metod nauczania gospodarstwa do innych nauk pod względem gruntowości i planowości, a także w zawieraniu umów, określających warunki nauki, ocenę po jej ukończeniu i ustalenie świadectw kwalifikacyjnych.

Kongres spodziewa się, że domowe nauczanie będzie się coraz więcej rozpowszechniać, bo zarówno wiejska jak i miejska rodzina stanowi najcenniejszy grunt dla wyrobienia twórczości życiowej.

Marja Karczewska.

Z życia ekranu

Dramat prawdziwy i zmyślony

Katastrofa Czeluski i cudowne ocalenie rozbitków, pozostających przez dwa miesiące na krze lodowej, zaprzętały, przez pewien czas, uwagę całego świata.

Prof. Schmidt w otoczeniu swych współpracowników przy urządzaniu łotniska na krze lodowej.



Weissmüller i O'Sullivan w filmie „Miłość Tarzana”.

wywołując podziw dla bohaterstwa lotników i dzielności uratowanych. Nie zdziwimy się, gdy ten arktyczny dramat, o tak niezwykłym „happy endzie”, stanie się w Sowietach czymś w rodzaju legendarnego eposu, który będzie się opowiadało dzieciom, zamiast czarodziejskich bajek. I nie dziwnego, że każdy, nie tylko dziecko i nie tylko w Sowietach, chciał zobaczyć tę legendę, utrwaloną na taśmie filmowej i z zadowoleniem witał pojawienie się tego reportażu na naszych ekranach.

Ale cóż? Widz kinowy jest tak zdemoralizowany dramatami *zmyślonymi*, z ciekawym „konfliktem”, z matematycznie wyliczoną stopniowaniem napięcia i sceną kulminacyjną, że dramat *prawdziwy* wydaje mu się przy tamtym błady. Widz, który przyszedł do kina, nastrojony na najwyższy kamerton grozy, patrzy z pewnym zdziwieniem na reportaż dramatycznej podróży „Czeluski”. Węc to tylko tyle? Okręt tonie, ściśnięty przez lody, a tu nie widać żadnej paniki, ani jednej wystraszonej twarzy, ani jednego dramatycznego gestu! Z wojskową sprawnością ludzie opuszczają statek, wyrzucają manatki, zakładają obóz i zaczynają „normalne” życie: gotują, jedzą, pracują, gimnastykują się, o wiele więcej emocji doznaje się na dramacie „wymyślonym”!

I tu właśnie dochodzimy do sedna rzeczy: stopień dramatyczności każdego faktu zależy od sposobu, w jaki jest opisany, opowiedziany lub pokazany. Katastrofa Czeluski, opowiedziana jest zwięźle i sucho, operator traktował te zdjęcia tak, jak kapitan prowadzi swój dziennik okrętowy, bez komentarzy, bez patosu: „na takim, a takim stopniu szerokości i długości geograficznej zdarzyło się to a to”... „12 lutego lody zaczęły coraz bardziej napierać, aż przebiły burte”... Fakt ten jest pokazany, ale w taki sposób, jak gdyby zdarzał się codziennie i nie stanowił nic niezwykłego.

Gdyby katastrofa „Czeluski” była zwykłym dramatem filmowym, taka „suchość” i umiejętność wyzyskania momentów dramatycznych mogłaby być poczytana za wadę. Ale „Katastrofa Czeluski” jest dokumentem, „świadectwem prawdy”, i właśnie cała jego groza leży w tych scenach, pozornie tak sielankowych. W tem, że ludzie, odczuwając bezwzględność, lęk przed śmiercią, która im groziła lada moment, nie ulegali jej złowrobnym zwistom: rozpacz, zwątpieniu, depresji, że przeciwstawiali jej się, stwarzając sobie właśnie możliwie „normalne” warunki życia, że potrafili utrzymać się w karchach dyscypliny, narzuconej im przez genialnego organizatora i kierownika, że nie traciли nadziei na ocalenie, bez względu na trudności, na jakie natrafiali ratownicy, że wytrwanie uważali nie tylko za samoobronę, ale niejako za obowiązek — w tem leży patos tego dramatu. Nie ulega wątpliwości, że taka postawa rozbitków jest skutkiem systemu wychowywania mas w wierze w sowieckiego człowieka (jaka szkoda, że nie w człowieka w ogóle!) i w jego nieograniczone możliwości, a więc i możliwość pokonania nawet... białej śmierci. Rozbitkowie wierzyli, że towarzysze, zasiadający w rządzie, zarówno jak towarzysze — lotnicy, nie tylko zrobią wszystko by ich ocalić, ale że im się to *musi* udać. Tego nauczył ich długoletni trening „entuzjazmu”. Pomimo im, taka wiara ma w sobie coś imponującego, i krzepiącego.

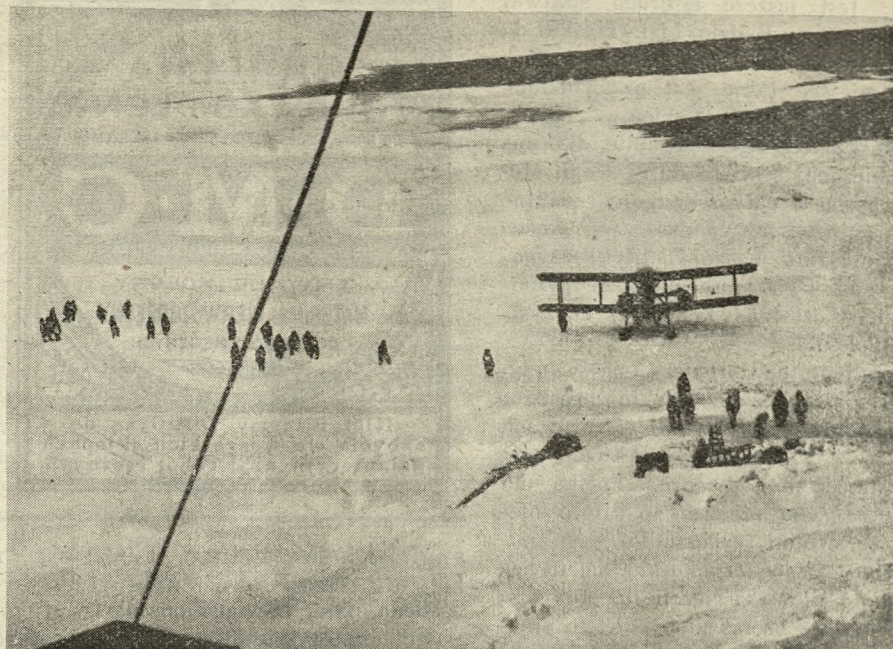
O ile reportaż w swej pierwszej części wymaga od widza wiele wyobraźni i wczucia się w sytuację (w kinie nie czuje się temperatury, panującej na krze lodowej, a odległość 4 klm. między obozem a lotniskiem nie mówi widzowi, który nie odbywał tej uciążliwej drogi), o tyle druga część — powrót rozbitków i ich ratowników do Moskwy, jest zrobiona już celowo, ażeby poruszyć w widzu strunę emocjo-

nalną. Ta część już wkracza w dziedzinę sztuki filmowej, przez montaż i charakter zdjęć. Zdaje się, że tłumy, zalegające wszystkie stacje, przez które przejeżdża pociąg, tworzą jeden nieprzerwany łańcuch, że cała Rosja wyległa na spotkanie swych bohaterów, a jedno migawkowe zdjęcie kwiatów, leżących na stopniu wagonu, lub kilka rozentuzjasmowanych twarzy ludzi, którzy nadbiegli z pola, aby powitać pociąg, wzruszają więcej, niż powitalny ceremoniał na Czerwonym Placu. Chociaż i tutaj operator i ten kto film montował, wiedzieli, czem wywołuje się odpowiedni nastrój. Widać to w scenie przemówień: co za ekspresję zdołano wydobyc z tego okrzyku tłumu, niedającego mówcy dojść do słowa! Ten wzmagający się i zamierający okrzyk, śpiew niewidocznego tłumu i wzruszona twarz mówcy, to już celowy „chwyt“, wywołujący zamierzony efekt.

„Katastrofa Czeluskińska“ to nie jest film, o którym się mówi „zły“ lub „dobry“ — „podoba mi się“ czy „nie podoba“. To jest utrwalony na taśmie dokument, obraz wspaniałego wysiłku ludzi, którzy nietylko odnieśli zwycięstwo w walce z przyrodą, ale wydobyli najaw najszlachetniejsze wartości człowieczeństwa.

A teraz przejdźmy do dramatu „zmyślnego“, do „Miłości Tarzana“. Tutaj miłośnicy silnych wrażeń będą mieli tak dużo, że może nawet... przestaną na nie reagować. Scenarzysta trochę przesolił; w pierwszej części Tarzana („Człowiek-małpa“), nadzwyczajne przygody bohaterów były ułożone z większym umiarem. Tutaj powtarzają się, w zwiększonej skali. Ale pocóż stawiać jakieś wymagania scenarzystowi, który jest t. zw. „bujdą“, mającą jednak pewną zdrową myśl, choć przedstawioną bardzo naiwnie: potępienie cywilizacji, objawiającej się w pogoni za pieniądzem, zdobywanym nawet za cenę zbrodni, i pochwała dżungli, gdzie można znaleźć prawdziwą szlachetność i wierność, wśród małp i słoni. Wprawdzie i w puszczy są drapieżnicy: lwy, nosorożce, krokodyle i dzikie, nieobliczalne szczepy, ale, bez nich nie byłoby walk i emocjonujących scen, z których Tarzan wychodzi zwycięsko, niby Herkules, dokonywujący swych legendarnych czynów. Miłośnikom zwierząt film ten da dużo przyjemności, gdyż nie żałowano kosztów, by zgromadzić w jednym miejscu całe stada słoni, lwów, szympanów, których „gra“ jest często, naprawdę zdumiewająca. Jest to jakgdyby wielki cyrk na wolnym powietrzu: wspaniałe sztuki akrobatyczne, wykonywane, zamiast pod stropem cyrku, wśród drzew dżungli, na łąkach i skalach. Choćby pływackie „akrobacje“ Weissmüllera i Maurcen O'Sullavan, warte są obejrzenia.

Poza emocją, na filmach tego rodzaju widza interesuje jeszcze jedno: jak to jest zrobione? Bo czy możliwa jest taka walka człowieka z lwem i z krokodylem, albo jazda na nosorożcu? Więc jak się to robi? Przyznaję, że nie wiem. Zapewne, że obok świetnej tresury, są tam jakieś „tricki“.



Scena z reportażu „Katastrofa Czeluskińska“.

ale faktem jest, że ma się złudzenie prawdy. Przecież poto ludzie się męczą, ażeby dać widzom to złudzenie, nie bądźmy więc ciekawymi dziećmi, które rozpruwają lalkę, ażeby zobaczyć, „jak to się robi“, że zamyka i otwiera oczy. Niech nam wystarczy to „złudzenie prawdy“. Dobrze wyreżyserowane sceny zbiorowe, ciekawe zdjęcia (przejście pod wodospadem) i cała ta, z maestrią zmontowana zoologiczno-cyrkowa machina, puszczona w ruch, ażeby nas zabawić i wywołać to wieczne pytanie: „jak się to robi“? — pytanie, które w takich filmach jest dla nich najwyższą pochwałą.

Stef. H.

Z ubiegłego tygodnia

Zmarłowie kronikarza. — Wstępne mamenty Barthou. — Rozmowy z min. Beckiem. — Rozmowy z Beneszem. — Z czem wystąpimy w Genewie? — „Dalsze“ niepokoje. — Rewja w Norymberdze.

„Lotnicy przelecieli do Casablanca“: Nie, przepraszam: Liga Narodów! Takie niespółmierne z sobą, bo z innych dziedzin biorące się podniecenie, stają się w tej chwili udziałem „kronikarza“. Tembardziej, że obie aktualności są przed rozstrzygnięciem. W tygodniku trudno jest dotrzymać kroku wydarzeniom, więc w relacjach „Z ubiegłego tygodnia“ często dokonanie faktu przychodzi post factum, czyli po napisaniu sprawozdania.

Możemy natomiast bez pośpiechu, choć w skrócie, objaśnić, jakimi sprawami zajmuje się bieżąca sesja Ligi Narodów. Już tu niedawno wspomnieliśmy o przygotowującym się „wejściu“ Rosji Sowieckiej do Ligi Narodów. Dodać tylko należy, że Sowiety mają wejść na miejsce stałe. Wyjaśnialiśmy też, że szczególnie zabiega o to Francja.

Liga Narodów, która zebrała się teraz na 81-ą sesję, nieraz już zdezawuowała

się w opinii politycznego świata. Rola Ligi nie jest łatwa, jej szerokie kompetencje nieraz przekraczają jej możliwości realizacyjne. Mimo to, waży Liga swoim wpływem moralnym i bądź co bądź, reguluje międzynarodowe stosunki swoim wewnętrznym ustosunkowaniem się sił. Dla tych to właśnie celów, Francja lansuje Rosję sowiecką, wierząc, jak to mówi frazes publicystyczny, w „przyływ nowej krwi“.

Pan Barthou, minister spraw zagranicznych Francji, przygotowuje więc teren, aby wśród członków Ligi znalazło się dwie trzecie głosów za Sowiecami. Jego rozmowy z ministrem Beckiem i z Beneszem, to nietylko urabianie sprawy, ale i uzgadnianie tych kwestyj, z którymi przedstawiciele sojusznich państw przybyły na sesję Ligi.

Z Beneszem — rozmowa o niepodległości Austrii. Państwa środkowo-europejskie są bowiem zaniepokojone wyłączną opieką nad Austrią Włoch. Powiedziano więc sobie w tej rozmowie, że Austria jest zagadnieniem międzynarodowym, które może być rozwiązane tylko przez zgodną akcję Anglii, Francji i Włoch. Minął czas powierzania „mandatów“ jakiegokolwiek rodzaju tylko jednemu mocarstwu. Pewnego typu „kolektywizm“ i w polityce ma dziś zastosowanie.

Ale nas obchodzi najwięcej, z czem wystąpi Polska na tej sesji Ligi. Wniosek, z którym delegat Polski przyjechał do Genewy, nie zaskoczy nikogo. Był już przedtem złożony Lidze i ma jaknajsluszniejsze podstawy. Chodzi o to, żeby ochronę nad mniejszościami narodowymi rozszerzyć na wszystkie państwa. Ochrona ta obowiązuje dotąd jedynie kilka państw, między innemi Polskę. Jasne jest, że i Rosja Sowiecka, z chwilą wstąpienia do Ligi, musiałaby przyjąć ten traktat o mniejszościach narodowych. To, było, jak zapewnia prasa, tematem rozmów między ministrem Beckiem a p.

Barthou. Jest jeszcze i druga sprawa: stałe miejsce w Radzie Ligi. Polska do tej pory nie posiada stałego miejsca, natomiast miejsce takie jest przewidziane dla nowówstępujących Sowietów.

Widzimy więc, że szczególnie dla nas obrady bieżącej sesji są dużej wagi. Możemy zresztą z całym spokojem zaufać naszemu przedstawicielowi w Lidze, skoro całokształt naszej polityki zagranicznej pod jego kierownictwem przedstawia się w ostatnich latach tak korzystnie dla Polski.

Niewątpliwie na terenie Genewy użyska Polska to, co należy się jej prestiżowi i niewątpliwie też Polska w sprawach mających na celu uspokojenie Europy nie będzie stawać na zawadzie. Polska ma przecież za sobą pierwsze pakt o nie-agresję ze swoimi sąsiadami!

Czekajmy więc spokojnie na to, co przyniesie Genewa, a jeżeli już konieczne musimy się czemś niepokoić, to skierujmy swój wzrok za Ocean, gdzie miliony robotników porzuciło pracę, protestując przeciw wytworzonemu w Stanach Zjednoczonych warunkom pracy. Reformy ekonomiczne Roosevelta i odporne stanowisko świata przemysłowego doprowadziły w tej chwili do groźnego chaosu, który wzburzył masy robotnicze.

Tak samo niejako zastanowienie wywołać może rewja oddziałów szturmowych w Norymberdze. Pięciogodzinny przegląd tej armii dzisiejszych Niemiec jest chyba przeznaczony dla Genewy, ściślej, dla Francji. Nie są to skomplikowane efekty, bo odrazu wie się, że rewja odnosi się do dywersji politycznej Francji, wprowadzającej Sowiety w zespół Ligowy. Bardzo wyraźnie przesuwają się więc figurki na szachownicy... H. N.

PRZEGLĄD PRASY

SPRAWA LNIARSKA.

Wanda Dobaczewska w korespondencji z powiatu dziśnieńskiego p. t. „Daleko na północy“ w Kurjerze Porannym podaje między innymi następującą uwagę:

„W sprawie lniarskiej głównym hamulcem jest brak przedzalni. Tkać można bardzo dobrze po chatach. Baba ma zajęcie całą zimę, a gdy płótnem zarobi, zdobywa sobie stanowisko w rodzinie i wszyscy są zadowoleni. Płótno tkane w chacie nie jest wcale gorsze od fabrycznego, ale całkiem inna sprawa z niemi. Uprząść nie odpowiednio cienką, równą i gładką, nie, z której da się wytkać lepszy gatunek płótna... Niepodobieństwo! Dlatego koniecznie potrzebna jest przedzalnia, która by wzięła od chłopów surowiec lniany, a oddała uprzedzone nici. Niechby sobie potem tkał! Podniosłoby to znacznie jakość płótna, wpłynęłoby na rozwój przemysłu lnianego“.

ZARĘCZINY KSIĄŻĘCE.

Teodora Drzewiecka, współpracowniczka „Bluszczu“ w korespondencji z Londynu p. t. „Czwarty syn króla zaręczył się!“ zamieszczonej w „Kurjerze Porannym“ podaje następujące szczegóły o zaręczynach



angielskiego Prince George'a z księżniczką grecką Maryną.

Młoda para, bawiąca obecnie w Jugosławii (siostra księżniczki Maryny jest za księciem Pawłem) znała się już od kilku lat, gdyż księżniczka Maryna spowinowacpna jest z rodziną królewską przez matkę, a następnie wychowywała się w Anglii, tak, że włada angielskim, jak rodowitym językiem. Oczywiście, jest doskonałą „sportswoman“, — tak, jak Prince George, jej narzeczony. Pozatem, księżniczka Maryna odziedziczyła wybitny talent do malarstwa po ojcu, który do dzisiejszego dnia ma w Paryżu swoje „studio“, i utrzymuje zażyłe stosunki z malarzami, starannie unikając snobów, którzy go tytułują... Wogóle, cała rodzina księżniczki Maryny, i ona sama żyją na stopie stosunkowo skromnej od czasu przewrotu. Ojciec jej kiedyś wypowiedział się, że kamieniem probierczym dla ex-koronowanych głów jest ich umiejętność znoszenia z godnością zmiany warunków...

Księżniczka Maryna, wychodząc za Prince George'a, nie robi kariery, w materialnym znaczeniu tego słowa. Każdy syn króla (po za księciem Walji) otrzymuje roczne apanaże wysokości 10.000 f. szt., po dojściu do pełnoletności, a po ożenieniu się 15.000 f. szt. Oczywiście, żaden z nich nie zna wydatku na komorne... Pałaców królewskich jest dosyć!

Przypuszczalnie, młoda para po ślubie zamieszka w ślicznym pałacu Richmond,

w tym pałacu, w którym „każdy dzień roku przez inne patrzy okno“... (Jest 365 okien...). „Richmond Lodge“ stoi w jednym z najcudowniejszych parków Anglii, w większej swojej części otwartym dla publiczności.

CHAŁUPNICTWO.

Zofja Zaleska w „Kurjerze Warszawskim“ drukuje artykuł p. t. „Chałupnictwo“, w którym zwraca uwagę na fałszywe tory, na jakie zaczyna zbaczać hafciarstwo ludowe na Śląsku, wskutek braku spółdzielni i odpowiedniego kierunku.

W każdej chacie spotykam przy oknie maszynę do szycia i wszędzie kobiety siedzą pochylone nad kawałkami kolorowych tkanin i pękami barwnych jedwabii, haftując pracowicie tu jakąś poduszkę, tam przód do koszuli, ówdzie lauffer czy inny jakiś „kawalek“. Wszystko to jednak — aczkolwiek wzbudza podziw znajomością różnych technik haftu — nosi cechę typowo miejską. Ot, takie hafty, jakich pełno w sklepach z konfekcją damską. Ani jednego o motywach ludowych, regionalnych.

— Dla kogo robicie te hafty?

— Żydówki dają robotę — słyszę odpowiedź. One wysyłają to w różne strony: do Bielska do sklepów, do Krakowa, pono nawet do Warszawy.

W dalszym ciągu rozmowy dowiaduję się, że w miasteczku wszystkie przedsiębiorczynie w tej gałęzi pracy to Żydówki, które potrafiły zorganizować tu chałupnictwo hafciarskie na wielką skalę, korzystając z istnienia szkoły haftów. Dziewczęta i kobiety we wsiach okolicznych i w samem miasteczku wykonywują zamówienia, nie umiając same zorganizować się i stworzyć spółdzielni.

— Bo dla czego to nikomu z naszej inteligencji nie przyjdzie do głowy osiąść tu i zająć się takim handlem? — wtrąca mąż jednej z hafciarek, bezrobotny robotnik, szwagier gospodarza, w którego chacie toczy się rozmowa. A wy też same winne jesteście, że was wyzyskują, bo niech która przez parę miesięcy poduczy się haftu, to już ma dosyć. A Żydówki sprowadzają wzory, myślą, jak iść dalej, jak sobie zwiększyć zarobki, pojedają do większego miasta, zdobędą zamówienia i kalkulują:

— Ile przy hafcie zarabia się tu dziennie? — pytam.

— Od świtu do zmierzchu pracując 1 złotego zarabiam — mówi gospodyni i pokazując mi swoją robotę, dodaje: — proszę spojrzeć na tę poduszkę, ile tu pracy trzeba.

Jakoż rzeczywiście misterny i bogaty ten haft biały, jaki mi pokazuje, wymaga drobniagowej pracowitości i świetnych oczu.

— Ja w tym tygodniu to ledwie do 70 groszy dziennie dociągam — mówi druga.

— A i to jedna przez drugą robotę chwytą — dodaje trzecia. — Bo jak tego niema, to z czego żyć?

— Co tu mówić o życiu z tego — gniewnie rzuca jedna z dziewcząt. — Trzy złote tygodniowo mam. Za te kilkanaście złotych miesięcznie chcecie żyć.

JEDWABISTĄ, MATOWĄ CERĘ



Kobieta w świecie i w domu

Nieobecność Polek na Zgromadzeniu Ligi Narodów

Na sesję Rady i Zgromadzenia Ligi Narodów, rozpoczętą w Genewie dn. 10 września, udała się w tym roku delegacja polska, bez udziału ani jednej przedstawicielki organizacji kobiecych.

Jest to tem przykrejsze, że w ostatnich paru latach w delegacji rządowej uczestniczyły kobiety, powołane w szczególności do spraw rozbrojenia i opieki nad młodzieżą, a praca delegatek polskich w komisjach Ligi była dobrze oceniana.

Prawie wszystkie delegacje rządowe mają w swym składzie przedstawicielki organizacji kobiecych. Anglia wysyła zawsze jedną lub dwie delegatki; w delegacji francuskiej uczestniczy stale p. Malaterre-Sellièr, w rumuńskiej p. Văcărescu. Szwecja wysyła p. Heszeltgren, Danja p. Forchhammer, Węgry p. Apponji, Hiszpanja p. Palencia, Urugwaj p. Luisi, i t. d. Jest bowiem rzeczą zrozumiałą, iż przynajmniej takie sprawy społeczne, jak opieka nad młodzieżą, dziećmi i matkami, kwestja walki z międzynarodowym handlem kobietami, a niemało innych spraw, nie powinny i nie mogą być rozstrzygane bez udziału kobiet, wśród których zresztą nie brak doskonałych rzeczoznawczyń i wytrawnych działaczek.

Geografki na Międzynarodowym Kongresie w Warszawie

Ukończony w tych dniach kongres geograficzny skoncentrował na terenie Warszawy przedstawicieli całego świata. Nie brakło wśród nich kobiet. Najliczniej obsłala kongres Belgja, Francja i Rumunja. Przybyły też Hiszpanki, Angielki, Amerykanki, Estonki, Rzposp. Kubę reprezentowała p. Guillermina Portela.

Wśród naszego świata geograf. zauważyliśmy p. Barszczewska - Michałowską, wizytatorkę Min. W. R. i O. P. p. Zofję Hołub-Pacewiczową, opracowującą obecnie osadnictwo pasterskie na terenie Alp. i Pirenejów. p. Stanisławę Niemcównę (Kraków), p. Polackównę (Lwów), p. Danysz - Fleszarową i J. Kobendzinę z Warszawy, przedstawicielki Wilna, Poznania i Gdyni.

Jak wynika z treści zgłoszonych referatów, kobiety najchętniej zdają się podejmować tematy z zakresu osadnictwa, jak również samej techniki nauczania geografji.

Kongresy i Kobiety

Schylek lata przyniósł Polsce mnóstwo emocyj natury kulturalnej, kilka wielkich kongresów międzynarodowych odbyło się, jeden po drugim, a jeżeli doliczyć do tego dopiero miniony wielotysięczny Zjazd Polaków z zagranicy, mamy obfitość gości z całego świata.

Na międzynarodowy kongres geogra-

fów przybyło do Warszawy około 600 osób z zagranicy, na międzynarodowy kongres Związku Przeciwgruźliczego przeszło 300 lekarzy z 44 krajów, na międzynarodowy kongres Wychowania Moralnego w Krakowie również kilka setek gości zagranicznych, kongres Sławistów też zapowiada przyływ pobratymczych uczonych.

Ze zjazdami tymi łączyły się różnorodne manifestacje naukowe, towarzyskie, artystyczne, znajdujące szerszy odźwięk w kulturalnym społeczeństwie i wśród studjującej młodzieży. Urządzono wystawy, a więc wspaniałą Wystawę kartograficzną, przedstawiającą wydawnictwa geograficzne i mapy przeszło 40 krajów, uczestniczących w Kongresie geografów, z uwzględnieniem pięknego już współczesnego dorobku polskiego.

Urządzono Wystawę Polskich Zbiorów kartograficznych w Bibliotece Narodowej, przedstawiając niezwykle ciekawy dobór map Polski, rysowanych przez polskich i obcych uczonych badaczy, od starożytności (mapa Ptolemeusza) i wczesnego średniowiecza, okazy prac polskich geografów XV i XVI wieku, od Bernarda Wapowskiego, Strubicza, Makowskiego, aż do doskonałych już prac „geografów króla”, zgrupowanych przy znamienitym miłośniku i zbieracz map, jakim był król Stanisław August Poniatowski.

Kongres Geografów wybił się na czoło tegorocznych manifestacji naukowych o charakterze międzynarodowym, nie tylko ilością uczestników (887 osób), lecz i wielką zawziętością w prowadzeniu prac: sześć komisji obradowało przez tydzień, niemal stale rano i popołudniu a ilość referatów, przedstawionych w sekcjach, doszła do imponującej liczby 214-tu.

Stało się już rzeczą utartą i zwykłą, że każdy zjazd międzynarodowy, czy krajowy w znacznej części opiera się na bezinteresownej i bardzo ofiarnej pracy organizatorskiej kobiet. Tak było w roku ubiegłym z wielkim kongresem historyków, odbywającym się przy udziale około 1.000 osób, tak było i tego roku z kongresem geografów, przeciwgruźliczym, wychowania moralnego. O ile strona naukowa, i reprezentacyjna tych zjazdów jest strzeżona naogół dość wyłącznie przez uczestników mężczyzn, o tyle kulisy organizacyjne i gospodarcze, praca wykonawcza, propagandowa i strona towarzyskiej gościnności spoczywa z reguły w rękach kobiecych.

Tak więc na kongresie geografów pracę w sekretarjacie pełniły bezinteresownie studentki obok studentów uniwersytetu, biuro prasowe dzielnie funkcjonowało pod kierunkiem znanej geografki dr. Reginy Danysz-Fleszarowej, a przy pomocy wykonawczej słuchaczki Szkoły dziennikarskiej, w Komitecie wystawy zbiorów kartograficznych czynne były fachowo dwie panie. Imprezami towarzyskimi i artystycznymi, urządzanymi szczególnie dla towarzyszących uczonym rodzin, kierował komitet pań z panią Krzysztofową Siedlecką, żoną wicemi-



nistra, na czele. Wycieczki organizowała p. Urbanowska, artystyczne wieczory p. Janina Mieczyska, przyjęcia towarzyskie p. Helena bar. Lesser.

Na Kongresie Przeciwgruźliczym sekretarjat generalny, a więc strona organizacyjno - naukowa zjazdu, był powierzony dr. Marji Skokowskiej - Rudolfowej, a sekretarjat generalny Kongresu Wychowania Moralnego spoczywał w rękach p. Marji Sokalowej.

Jeżeli chodzi o udział w pracach naukowych Kongresów, to w Kongresie geografów i wychowania moralnego zaznaczyły się kobiety dość wydatnie, słabiej znacznie na Kongresie przeciwgruźliczym. Uczestniczek naukowych Kongresu Geografów było około 20-tu procent, a referaty geografek stanowiły 10 procent ogółu prac naukowych, wygłoszonych na Kongresie. Nie jest to zbyt wiele; przeważnie geografki zajmują się pedagogją, pracując w szkołach średnich i ścisłej nauce w Instytutach, podróżom, i badaniom oryginalnym mogą się poświęcać tylko wyjątkowo, co osłabia ich wydajność pracy naukowej.

Geografki polskie, pracując naukowo zaledwie od dwu pokoleń (nestorką geografek jest p. Anna Nałkowska) dały jednak na Kongresie sporo prac (16 na 4 cudzoziemek) poświęconych przeważnie zagadnieniom nauczania geografji i metodom szkolnym, kwestjom ludnościowym, etnograficznym i gospodarczym. Nie mamy w tej chwili żadnej wybitniejszej podręczniczki (prace i wyprawy podróżnicze Jadwigi Mrozowskiej - Toeplitzowej nie mają charakteru badań naukowych) od czasu przedwcześnie zmarłej etnografki, Marji Czaplickiej, badaczki ludów syberyjskich i kierowniczką wyprawy naukowej na Syberję, profesorki uniwersytetu w Bristolu w Anglii.

Wśród geografek cudzoziemskich, również przeważnie profesorek szkół średnich, rzadko uniwersyteckich, zaznaczyła się na Kongresie rezultatami swych podróży polarnych Amerykanka, miss Luiza Boyd, która własnym kosztem zorganizowała kilka wypraw naukowych i sama je prowadziła. Kongresowi przedstawiła referat o dwu ostatnich swych wyprawach na Grenlandję, gdzie odkryła nowe ziemie i fjordy, dokonała wielu tysięcy zdjęć fotograficznych, zdobyła zbiory geologiczne i botaniczne. Jest ona przykładem, jak umieją Amerykanki używać swych majątków dla dobra wiedzy.

ODTWÓRCZYNI ROLI MAGDALENY W OBERAMMERGAU WYCHODZI ZAMĄŻ DO AMERYKI.

Odwieczna tradycja wymaga, aby role kobiece w przedstawieniach pasyjnych w Oberammergau grały tylko osoby niezamężne. Dlatego też rolę Magdaleny powierzono pannie Klarze Mayo, posiadającej odpowiednie warunki zewnętrzne. Amor jednak oderwał pannę Klarę nazawsze od jej powołania teatralnego, stawiając na jej drodze dr. Langa, syna Antoniego Langa, który wygłasza prologi przed widowiskami pasyjnymi. W dn. 2 sierpnia r. b. odbył się ślub młodej pary. Dr. Lang jest profesorem języków obcych na uniwersytecie w Washingtonie, więc nowożeńcy w najbliższych dniach opuszczają Europę. Na wrześniowych przedstawieniach pasyjnych Magdalene kreować będzie już inna panna, Ritta Posch.



ŚLUB NA ŚLĄSKU NIEMIECKIM W ARCHAICZNYCH STROJACH.

Tak wygląda ślub w Schreiberbau na Śląsku niemieckim, kiedy nowożeńcy i goście weselni przywdziewają starodawne stroje ludowe.

PANI PICCARD LECI W STRATOSFERĘ.

Dnia 3 września w Detroit miał startować do lotu w stratosferę wraz ze swą małżonką prof. Jan Piccard, brat słynnego stratosferycznego podróżnika. Na zdjęciu Jan Piccard i jego żona Zanetta.



DOŻYNKI NA CAŁYM ŚWIECIE.

Tak wygląda pochód dożyn-
kowy w Bückeberg pod Ha-
meln.



KSIĄŻĘCE ZARĘCZINY.

W dn. 29 sierpnia r. b. ogłoszone zostały oficjalne zaręczyny księcia Jerzego, czwartego syna króla angielskiego, z grecką księżniczką Maryną. Na zdjęciu młoda para przed hotelem w Sazburgu.



NARZĘCZONA Z HALLI ROZLEWA PIWO Z DREWNIANEJ KONWI.

Od 800 lat istnieje w Halli bractwo piwne i corocznie obchodzi swoje urodziny w kostjumach staroświeckich. Na zdjęciu widzimy „Hal-lover braut“ — narzeczoną Halli, dzisiaj powiedziałoby się „miss Halla“) nalewającą uczestnikom uroczystości, głównie młodym studentom, piwo z drewnianej starodawnej konwi.



Kącik radiowy

DOM I RODZINA

Próg domu rodzinnego, posiadający za sobą tradycję „białych dworów” do dziś dnia, mimo zasadniczej zmiany, jaka zaszła w trybie życia współczesnego, pozostała, broniąca przed burzliwymi falami, które płyną ze świata. Blyskawiczne tempo, jakim zdąża obecnie życie w nieodgadnioną przyszłość, tempo „wyscigu pracy”, zwiększonej nerwowości, walki o byt, na progu domu naszego przychodzi, załamuje się i odpoczywa, jakby nabierając oddechu do dalszego mocowania się z losem. Tutaj nasze tragedje, smutki znajdują współczujące spojrzenie, a ciepły dobrotliwy uśmiech naszych najbliższych, daje zapomnienie wszystkiego, co zostało „poza drzwiami”. Pod dachem naszego domu buduje się nasza przyszłość, wychowują się ludzie, którzy kiedyś wejdą w szeregi społeczeństwa, aby stanowić o jego kulturze, sile i pracy. Dom rodzinny jest przecież tą podwaliną, fundamentem racjonalnie rozwijającego się Państwa.

To też niedarmo powiedział stoicki filozof Epiktet: „Podnosząc dobrobyt naszego państwa, nie zapominajcie podnosić dachów domów naszych”.

Nam dzisiaj też niewolno o tem zapominać, właśnie dzisiaj, kiedy kultury państw całego świata rywalizują między sobą. Jeśli więc będziemy dbać nieustannie o podniesienie poziomu domu i o stworzenie w nim jak najprzyjaźniejszego nastroju, nie możemy zapomnieć o aparacie radiowym, który jest wielkim kondensatorem ciepła rodzinnego, skupiając wokół siebie zainteresowanie całego domu; jest „modulatorem” nastrojów domowych.

Muzyka, rytm, melodia dodatnio wpływa na tempo pracy, stwarza należyty wypoczynek starganym nerwom. Aparat radiowy, jako zdecydowany domator, bierze na siebie również rolę strażnika zrównoważonego budżetu, zastępując z powodzeniem salę koncertową i odczytów, bez których człowiek kulturalny obejść się nie może.

Aparat radiowy zajmuje się również sprawami rodziny, poświęcając jej odpowiednie odczyty. Przeglądając programy, zatrzymajmy się z uwagą na sobocie, godz. 17.50, a znajdziemy tam w każdym tygodniu niezmiennie, cykl „Dom i rodzina”, w którego ramach poruszane będą wszystkie najżywotniejsze tematy, poczynając od praktycz-

nych, gospodarskich, towarzyskich, pedagogicznych, a nawet humorystycznych obrazków przeszłości i teraźniejszości. W dn. 22. IX. o godzinie 17.50 np. p. Karolina Beylin mówić będzie o tem, co było nieprzyzwyczajeniem dla kobiety przed 50-ciu laty. Będą się mogły słuchaczki i dziwić i uśmieć dowoli.

Poza odczytami z cyklu „Dom i rodzina” Polskie Radio nadaje również nowy cykl, poświęcony życiu młodzieży. Prelekcje te otrzymały już stały dzień w programach radiowych, mianowicie *niedzielę godzinę 18.45*. W ramach tych pogadanek przemówią nie tylko znawcy współczesnych zagadnień życia młodzieży w Polsce, ale również o ile możliwości i sama młodzież, która przez usta swych utalentowanych przedstawicieli będzie informować społeczeństwo o swych potrzebach, ideologii i zamiarach na przyszłość, zwłaszcza w dziedzinie pracy nad budowaniem potęgi państwa. Pierwszą pogadankę z tego cyklu w dniu 16 września wygłosi prezes Stowarzyszenia p. minister Hubicki.

Pamiętajmy więc o tem, że antena na naszym dachu, to nie tylko sieć drutów, ale ożywcze źródło światła, dla którego ściany naszych domów nie stanowią zapory.

Ogrodnictwo i hodowla

POLSKA — KRAJNA JABŁKA

Nadeszła jesień, a wraz z nią pora sadzenia drzew i zakładania sadów. I choć na tem polu stale czynimy postępy, dużo jeszcze pozostało do zrobienia.

Przedewszystkiem dalecy jeszcze jesteśmy od samowystarczalności w dziale owocowym, a przecie nietylko ją możemy osiągnąć, ale mamy wszelkie dane dla stworzenia eksportu owoców, zwłaszcza na rynki skandynawskie i nadbałtyckie.

Sadownictwo nasze zaczęło się od chwili odrodzenia Polski rozwijać żywiołowo, niestety jednak zostało zahamowane klęską zimą w r. 1928—29, w której zginęło przez zmarznięcie około 50 procent drzew owocowych.

W ostatnim czterolecu nadwyżka przywozu nad wywozem wyraża się w sumę 9—18 milionów złotych rocznie, pomimo wszelkich możliwych ograniczeń przywozowych.

Według danych statystycznych posiadamy 16 milionów drzew owocowych. Z tych połowa przypada na jabłonie, 20 procent na grusze, reszta zaś na drzewa pestkowe.

Tak więc jedno drzewo przypada na dwóch mieszkańców Polski, podczas gdy np. w Niemczech, które nie są samowystarczalne, na jednego mieszkańca przypada trzy drzewa, a w niektórych prowincjach nawet cztery.

Aby osiągnąć tę gęstość zadrzewienia, jaką ma Czechosłowacja, powinniśmy nasz drzewostan zwiększyć prawie czterokrotnie, bo do 70 milionów sztuk drzew.

Brak nam przedewszystkiem sadów handlowych, produkujących większe partje jednolitego towaru.

Ze względów klimatycznych, należałoby u nas forsować przede wszystkim produkcję jabłka.

Zakładanie sadów jabłkowych, dla których mamy sprzyjające warunki na obszarze całego kraju, ma u nas największą rację bytu i tę hodowlę powinno się przede wszystkim zaprowadzić.

Oczywiście sadzić należy przede wszystkim odmiany późne, t. j. takie, któreby dostarczały dojrzałego towaru dopiero po Nowym Roku.

Pamiętać należy, iż wielkim błędem, który powoduje minimalną opłacalność naszych sadów, jest mię-

dzy innemi przedewszystkiem fakt, że gros naszej produkcji sadowniczej zostaje rzucone na rynek w okresie jesiennym. Wytwarza się w danym momencie nadprodukcja, której rynek nie może pochłoniąć i ceny spadają do nieprawdopodobnych granic. Ceny zaś za doborowe owoce zimowe trzymają się u nas bardzo wysoko, opłacając staranną pielęgnację drzewa, drobiazgowo dokładny zbiór, przechowanie, sortowanie i t. p., oraz odrzucając dla producenta znaczne nadwyżki, jako czysty zysk.

Przed zakładaniem wielkich, hodowlanych sadów gruszkowych, należy się głęboko zastanowić i dokładnie zbadać miejscowe rynki.

Pamiętać należy, iż grusze wprawdzie się u nas dobrze udają, ale przeważnie tylko wcześniejsze, odmiany letnie i jesiennie.

Odmiany zimowe gorzej dojrzewają, przechowują się fatalnie. Owoce zaś odmian wcześniejszych stanowią produkt szalenie nietrwały, trudny do transportu.

A że gruszki mniej, niż inne owoce, nadają się na konserwy i w przetwornictwie nie znajdują szerokiego

zastosowania, przeto nie mogą być traktowane jako artykuł do handlu na szerszą skalę.

Silniej, niż dotychczas, należałoby rozwijać produkcję owoców pestkowych, których sprowadzamy bardzo dużo zarówno świeżych, jak i w postaci przetworów, suszów i t. p.

Sadów drzew pestkowych nie należy ograniczać jedynie do terenów podmiejskich, letniskowych i t. p. lecz można hodowlę tych drzew przesunąć śmiało w głąb kraju, gdyż transport znoszą one znakomicie, czego dowodem wielkie partje tych owoców, przychodzących do nas z Włoch, Węgier i t. p. Przed wojną ogrodnicy podwarszawscy eksportowali swoje czereśnie aż do Petersburga.

W miarę postępu techniki opakowania i rozszerzenia sieci środków komunikacyjnych, kwestja odległości gra coraz mniejszą rolę.

Oczywiście, zakładając sady, trzeba je poważnie brać pod uwagę, ale chodzi tu przede wszystkim o odległość od kolei i jakość drogi, jaka do stacji prowadzi.

Czereśnie doskonale się nadają przede wszystkim w województwach południowo-wschodnich i w Poznańskim, dojrzewają tam wcześniej niż pod Warszawą. Tam więc należy zakładać jaknajwięcej sadów czereśniowych.

Sady śliwkowe największą rację bytu mają w pierwszym rzędzie na Wołyniu. I tutaj wcześniejsze owoce otrzymamy z województw położonych na południowym wschodzie Polski.

Węgierki na dobry susz można uprawiać i na Pokuciu. Na uprawę śliwki powinno się zwrócić baczniejszą uwagę. Owoc ten, zwłaszcza suszony, ma duże djetetyczne znaczenie i popyt na ten produkt jest duży, tak, że importujemy go wielkie ilości.

Warunkiem opłacalności uprawy śliwek jest zorganizowanie przetwórstwa tego owocu, a więc suszarni, fabryczek powideł i t. p. Ideałem byłyby tu wielkie sady śliwkowe z własnymi suszarniami. Jest tu wdzięczne pole do działania dla rzutkich jednostek.

Brzoskwinie, morele, melony, gruszki, winorośle, orzechy włoskie i t. p. dużo ciepła wymagające rośliny, jako produkt handlowy uprawiane być mogą na szeroką skalę przede wszystkim w południowych powiatach województwa stanisławowskiego i tarnopolskiego, których przeznaczeniem jest zamienić się w jeden wielki ogród i rezerwat delikatniejszych warzyw i owoców. Piszząc o tych owocach, nie sposób nie wspomnieć, że racjonalne wyzyskanie murów południowych dla tych upraw, to sprawa bardzo ważna, która powinna znaleźć szersze zro-

zumienie w społeczeństwie. Ambicja każdego właściciela takiego muru powinno być, aby ani kawałek jego się nie zmarnował, aby każdy metr kwadratowy był wyzyskany. Przyczyniłoby się to również do estetycznego wyglądu naszego kraju.

Krzewy jagodowe: porzeczki, agrest, maliny, jeżyny udają się na całej przestrzeni naszego kraju i należałoby im więcej poświęcić uwagi.

Już w drugim, trzecim roku zaczynają owocować, amortyzując włożone koszty.

Odległość od środków zbytu nie gra tu również większej roli.

Np. agrest jest przeważnie zbierany zupełnie niedojrzały i w tym stanie dostarczany na rynek, skutkiem tego nie potrzebuje zbyt delikatnego opakowania, bo znosi transport doskonale.

Zbyt na maliny, czy to w postaci suszu (tego potrzebują znaczne ilości apteki), czy to w postaci tak szeroko wchodzących do dzisiejszych jadłospisów „jamów“, czy wreszcie w postaci soku, który daje się konserwować nawet bez cukru, zbyt zawsze się znajdzie. Świeże owoce malin są bardzo delikatne i znoszą gorzej transport.

Porzeczki stanowią podstawowy produkt przy fabrykacji win owocowych i wszędzie tam, gdzie są widoki na ten przemysł, stanowią rentowną uprawę. Porzeczki w przetwórstwie domowym grają dużą rolę, bo każdy prawie dom używa ich na „jamy“, galaretki i t. p.

Największe jednak znaczenie dla Polski posiada jabłoń i tych drzew powinno się sadzić u nas (jaknajwięcej).

Polska powinna stać się krajem jabłoni, urodzi się ona doskonale w każdym zakatku naszego kraju.

Nadprodukcji zaś przez długie lata obawiać się nie należy, bo odległe są jeszcze bardzo te czasy, gdy każde dziecko polskie dostanie codziennie jabłko do szkoły.

Jeśli chodzi o wartości djetetyczne i odżywcze, to żaden prawie z owoców naszych równać się z nim nie może — zrozumienie tego, czym jest jabłko dla organizmu ludzkiego, ogarnia coraz szersze kręgi ludności.

Rozpocznijmy zatem tegoroczny sezon sadzenia drzew pod hasłem:

— Polska — krainę jabłoni i potrzebuje jaknajwięcej sadów tych z drzew racjonalnie zakładanych i pieczołowicie pielęgnowanych.

Marja Dąbrowa.

KWIATY WRACAJĄ Z LETNISK

W drugiej połowie września zaczynają już się tak chłodne noce, tak, że normalnie kwiatki pokojowe, wystawione na lato do ogródka, na

CZEKOLADA

Fuchs słodzi życie.

KARMELKI

balkony i werandy, trzeba wnieść do domu.

Przedewszystkiem trzeba sobie do tego przygotować wszystko, co będzie nam potrzebne, a więc:

różne gatunki ziemi, bo najczęściej okazuje się, że podlewanie i deszcze wymyły część ziemi i że trzeba jej dosypać.

Paliki, raffę do przywiązywania, bujnie rozrosłych w czasie lata pędów.

Rozpylacz, a w braku tegoż kropicidło, miękką gąbkę i ściereczkę oraz pewną ilość wystawej, miękkiej wody najlepiej deszczowej. Ostre nożyczki, lub sekator dla obcinania suchych lub zbyt bujnie wyrosłych liści u gałązek, które trzeba będzie obciąć, skrócić i t. p.

Nie należy też zapomnieć o przygotowaniu sobie zawczasu cieczy przeciw mszycom, tarczycom i t. p. szkodnikom. Przepisy na cieczę były niejednokrotnie na łamach „Bluszczu“ podawane, powtarzać ich tedy nie będę, wspomnę tylko, że: czerwonego pajęczka, tarczycę, mszycę i t. p. tępiamy przez 8—10-krotne opryskiwanie roślin ekstraktem tytoniowo-mydlanym, emulsją naftowo-mydlaną. Opryskiwanie stosujemy w odstępach tygodniowych, a w 24 godziny po tym zabiegu zmywamy dokładnie całe rośliny letnią wodą.

Do prostych, ale wymagających drobiazgowej uwagi środków, należy kąpiel w gorącej wodzie. Woda powinna mieć temperaturę 40—45° C. W wodzie o tej ciepłocie trzymamy łodygi roślin napadniętych pasożytami, poruszając niemi miarowo w ciągu 3—5 minut.

Większe rośliny, których nie da się zanurzyć, przewracamy poziomo i polewamy gorącą wodą przw pomocy konewki z bardzo drobnem sitkiem. Staramy się lać możliwie wolno w ciągu 3—5.

Woda o temperaturze wyższej niż 50° C. niszczy tkankę roślinną bezpowrotnie, dlatego też należy pilnie baczyć, aby tej granicy nie przekroczyć.

Często się zdarza, że u roślin, które przez lato przebywały w ogrodzie, powchodziły do doniczek dżdżownice, aby je wytępić, podlewamy ziemię wyciągiem z wiórek Quassia amara (dostać można w składach aptecznych).

Na wypędzenie dżdżownic z doniczek działa również skutecznie następujący środek: bierze się zie-

lone, ususzone liście kasztana i połowę tej ilości, co liści, mielonej kory garbarskiej; gotuje się to razem, licząc na 1 litr wody 100 g. tego sushu w ciągu 30 minut, następnie cedi się i letnim polewa ziemię w doniczkach.

Dżdżownice pod wpływem garbnika, który je drażni, wychodzą na wierzch i wtedy można je łatwo zebrać.

Zamierzając wnieść rośliny na zimowe leże, należy sobie także przygotować kilka doniczek, bo zawsze się zdarzy, że pomimo nieodpowiedniej obecnie ku temu porze, jedną i drugą roślinę trzeba będzie przesadzić, czy to z powodu pękniętej doniczki, czy też przerostu korzeni. Przesadzając, trzeba to czynić z jaknajwiększą ostrożnością, to znaczy tak, aby możliwie jaknajmniej naruszyć korzenie.

Dalej postarać się trzeba dla ochrony stołów i parapetów, na których rośliny ustawiać będziemy, o odpowiednią ilość podstawek. Zasadniczo każda doniczka powinna mieć własną. Ale przedewszystkiem wyłania się kwestja miejsca, miłośniczki kwiatów grzeszą najczęściej tem, że chcą mieć jaknajwięcej roślin, a niestety w dobrych dla nich warunkach tylko pewną, ściśle określoną ilość doniczek można ustawić.

Dopóki kwiatki stoja w domu i wszędzie ich pełno, to łatwo zwalczać pokusy sprowadzania coraz to nowych kwiatków do domu, ale gdy rośliny wystawimy na powietrze i w domu zrobi się luźno, często miłośniczka kwiatków postara się o kilka, a czasem nawet kilkanaście nowych roślinek, i potem, gdy przyjdzie na jesieni ustawianie wszystkich, zaczyna się kłopot, bo niema ich gdzie mieścić.

Ale tutaj nie można kierować się sentymentem, ale bezwzględnie skazać na banicję egzemplarze mniej ładne, słabsze, takie, których mamy kilka sztuk i t. p. Właśnie z miłości dla kwiatów trzeba się na to zdobyć.

Pamiętajmy, iż przebycie zimy w warunkach pokoju, często dusznego, zwykle opalanego i o suchem powietrzu, jest dla roślin bardzo ciężkie i przetrwać ją mogą tylko w wypadku, gdy dostarczymy im dużo światła, powietrza i skąpych i tak w zimie, promieni słonecznych.

Stłoczone, będą jedne drugie cieniowały i w rezultacie wszystkim będzie źle.

Obmyśliwszy sobie wszystko dokładnie i przygotowawszy, co potrzeba, przystępujemy do wnoszenia roślin do domu.

Każdą roślinę oglądamy starannie i myjemy dokładnie letnią wodą, lub, jeśli zauważymy bodaj ślad jakichś pasożytów, opryskujemy



wyżej wymienionemi ekstraktami.

Jednocześnie przy pomocy płaskiego drewnianka zdejmujemy wierzchnią warstwę ziemi tak, aby nie naruszyć korzeni i zastępujemy ją świeżą.

Jeśli potrzeba, dajemy roślinie palik lub rozpuszczamy jej gałązki na drabince. Do przywiązywania najlepiej używać lyka lub rafji, a nigdy sznurka.

Przywiązywanie roślin wiele osób uskutecznia wadliwie. Często się widuje rośliny ściągnięte łyżkiem w jedną wiązkę, niby miotłę. Przez takie postępowanie rośliny cierpi bardzo, bo powietrze i światło nie mają dostępu do wszystkich części rośliny, przez co liście i drobniejsze gałązki w środku tej wiązki żółkną lub gniją.

Przynosząc rośliny do domu, od razu je segregujemy na dwie partje: takie, które całą zimę przebędą w normalnie ogrzewanym pokoju i te, które w okresie spoczynku wymagają bezwzględnie niższej temperatury niż ma przeciętny pokój.

Raz jeszcze zaznaczam, że przy ustawianiu roślin w pokojach, należy zwrócić baczną uwagę na to, ażeby zbyt gęsto nie stały, gdyż przez to utrudniony będzie przystęp powietrza nie tylko do ścian doniczek, ale i krążenie jego między gałązkami i liśćmi roślin. Ustawiając zaś rośliny luźno, ułatwiamy przystęp powietrza do wszystkich części rośliny, przez co ochramy je jednocześnie od niepotrzebnej straty organów trawiących i przyswajających pokarm, jakimi są liście, a zarazem od szybkiego rozmnażania się pasożytów.

Ustawiając rośliny luźno, pozwalamy im rozwijać się swobodnie na wszystkie strony, przez co napewno zyskają na urodzie.

Pamiętać trzeba, że rośliny hodowane w pokojach, otrzymują światło prawie wyłącznie z jednej tylko strony, żeby więc wszystkim częścią dostarczyć niezbędnego dla ich rozwoju światła, powinniśmy je od czasu do czasu przestawiać tak, ażeby stroną odwróconą poprzednio od okna, zwrócić teraz ku niemu.

Czynność tę najlepiej uskutecznić przy podlewanu. Pamiętać trzeba, że młode roślinki wogóle bliżej światła umieszczane być powinny.

Podlewać należy umiarkowanie, zmniejszając stopniowo ilość dostarczanej wilgoci. Do podlewania używać wyłącznie wody miękkiej i koniecznie o pokojowej temperaturze. Używanie wody bezpośrednio z kranu, jak to się praktykuje, powinno być, jako wysoce szkodliwe, raz na zawsze poniechane.

Ilość zadawanych dawek wody stosować trzeba do temperatury mieszkania, im jest ona wyższa, tem obficie podlewać trzeba.

Zaniechać jednak należy raz na zawsze podlewania suchych roślin małemi dawkami wody; postępując tak bowiem czynimy roślinie szkodę, ma ona bowiem wtedy tylko wilgotną wierzchnią warstwę ziemi, gdy tymczasem dolne jej warstwy, gdzie najwięcej jest korzeni, pozostają suche. Podlewać należy zawsze tak, aby woda objęła całą bryłę. Nadmiar wody, który spłynie na podstawkę, powinien być natychmiast usunięty.

Już od połowy sierpnia poniechać wszelkiego zasilania sztucznemi nawozami i nie stosować aż do lutego.

Kwestja wietrzenia mieszkania, t. j. odnawianie wyczerpanego przez oddychanie ludzi i roślin powietrza, to sprawa w hodowli kwiatów pokojowych doniosła i w interesie zarówno ludzi, jak i roślin, lekceważona być nie powinna. Wietrzyć należy możliwie jaknajwięcej, chroniąc jednak rośliny przed bezpośrednim prądem zimnego powietrza.

Marja Dąbrowa.

Gdzie jest prawda w Kosmetyce

Od 10 lat istnienia, celem „Pierwszych w Polsce, wzorowych Kursów Kosmetycznych” i „Pierwszej w Polsce, wzorowej Szkoły Masażu Leczniczego” jest wyszkolenie i wychowanie fachowych, samodzielnych, inteligentnych i zamiłowanych kosmetyczek i masażystek, zdolnych do poważnej, odpowiedzialnej pracy z pożytkiem dla społeczeństwa i siebie.

Ukończenie Kursów i Szkoły daje prawo praktyki i otwarcia własnego gabinetu kosmetycznego.

Nauka obejmuje przedmioty obowiązkowe, zatwierdzone przez Departament Zdrowia, oraz nieobowiązkowe, dodatkowe i specjalne. Ćwiczenia obejmują wszelkie nowości krajowe i zagraniczne z zakresu zabiegów kosmetycznych, stosowania i przygotowania środków kosmetycznych, oraz zabiegi zdobnicze, jak manicure, fryzjerstwo, maquillage zwykły, sceniczny, filmowy i t. p.

Kursy posiadają wzorowy lokal szkolny, sale wykładowe, pracownię, wzorownię, laboratorium, muzeum, oraz jedyne w swoim rodzaju, pełne komplety urządzeń i specjalnych aparatów kosmetycznych, według ostatniej techniki i wskazań.

Urządzenia Kursów uważane są przez świat lekarski i specjalistów za wzorowe urządzenia w Polsce, a poziom nauczania za najwyższy i postępowy, oparty na 10-cio letnim doświadczeniu pedagogicznem.

Szczegółowe informacje udziela Sekretarjat „Pierwszych w Polsce Kursów Kosmetycznych” Dr. med. Marty Biernackiej i Dyr. Iny Kisielewskiej w Warszawie, Szopena 16.

Dom i gospodarstwo

OSZCZĘDZAMY

Oszczędność jest hasłem chwili! Hasło to nabiera tem większej ważności, że stoi twarz w twarz z ogólnym kryzysowem nastrojami, z naszymi szczupłymi budżetami i wieczną rozbieżnością potrzeb i środków. Dobrze jest nawoływać do oszczędności, jeszcze lepiej oszczędzać, ale najlepiej *oszczędzać racjonalnie*.

Bo co to jest właściwie *oszczędność*? Czyż tylko odkładanie pewnej, zgóry przewidzianej sumy, dziennie, tygodniowo, czy miesięcznie?

To jest tylko jedną formą oszczędności. Te odsetki od zarobków składane, jako żelazny kapitał na starość, albo na czarną godzinę.

Po pierwsze *odkładamy* je, dopóki wpływy nasze są względnie normalne, wreszcie, dopóki jakiś nieprzewidziany żywioł (choroba, jakiś nadspodziewany zbieg okoliczności) nie poruszy z posad naszego budżetu. Z chwilą, gdy to się stanie, o odłożeniu nie może być mowy, nawet, gdyby osoba administrująca rodzinnymi finansami odznaczała się granitową wolą.

Oszczędność zna jeszcze inną formę, formę groszową, codzienną, przystosowaną nieomal że do każdej minuty dnia powszedniego, oszczędność, w której się trzeba wygimnastykować, a która doprawdy niema w sobie nic z odrażających systemów małostkowych, przeciwnie, może bez niesmaku dać nieoczekiwane wyniki i dorobki.

Jeżeli tej oszczędności, o której mowa, nie będziemy użytkowały, jako powiększenie rezerw materialnych, możemy z jej pomocą rozszerzyć skalę naszego życia codziennego, pozwalając sobie na wyższy jego poziom.

Gdyby każde gospodarstwo domowe, na którego czele stoi pani domu, nie doceniająca drobiazgów, albo które opiera się na działalności pomocniczej niedbałej, mogło jakimś cudem przy końcu miesiąca przekonać się o wysokości zmarnowanej sumy, byłby to argument wysoce pedagogiczny.

Ta „rozrzutność“ i to rozrzutność nie dająca nikomu, ani pożytku, ani zadowolenia, polega na niedbalstwie, albo na braku racjonalnego systemu w prowadzeniu gospodarstwa domowego.

W pierwszym wypadku mamy do czynienia z marnującymi się resztkami, z bagatelizowaniem groźnego, z marnowaniem produktów przez niedocenicenie ich wartości, z resztkami mleka kwaśniejącymi w

zapomnianych garnuszkach, białkami, tracącymi świeżość i wylewanymi do zlewu, jarzynami z zupy wyrzucanymi do kubła ze śmieciami, światłem elektrycznym, palącym się, *bo ktoś ma zaraz wrócić do kuchni czy pokoju*; z ubraniem bielizną, niezreperowaniami w porę, z macoszem obchodzeniem się z dobytkiem domowym; odkładaniem z dnia na dzień koniecznych drobnych reparacji, które prowadzą do stanu bezużyteczności inwentarza ruchomego; z całym szeregiem drobnych, a w skutkach poważnych niedociągnięć, które zmuszają z czasem do wydatków, przeciążających budżet domowy.

Brak systemu w prowadzeniu gospodarstwa domowego wywołuje notoryczny chaos, wykonywanie czynności pod znakiem pośpiechu, zakupy w przygodnych źródłach, cały szereg niedopatrzeń i koniecznego w obliczu gorączkowego pośpiechu niedbalstwa.

Jakże inaczej np. będzie się przedstawiał jadłospis (zarówno z punktu widzenia racjonalnego zestawienia, smaku i kosztu), jeżeli zostanie w przeddzień opracowany spokojnie i rozważnie. Będziemy wówczas mogli zestawić go logicznie, zachować przyjacielski związek pomiędzy poszczególnymi posilkami, nie przekroczyć sumy, przeznaczonej na zakupy i nie robić ich z gorączkowym pośpiechem, w najbliższym sklepiku, tracąc w ten sposób nie tylko na ich jakości, ale na cenie i wadze.

Dobrze zbudowany plan pracy, przestrzeganie godzin, wychodzenie naprzeciw każdej czynności i każdego zagadnienia w porę, a nie w ostatniej chwili, jest podstawą pracy spokojnej, oszczędnej i wydajnej. Bo *oszczędzać* trzeba nie tylko pieniądze, ale czas i siły, które pozwalają każdej, najbardziej nawet obciążonej jednostce, zachować pewną swobodę, pogodę i radość życia.

Jakże inaczej spełnia swoje obowiązki ktoś, komu nie są one z powodu nadmiernego zmęczenia ciężarem ponad siły, jakże inaczej odnosi się do spełnianych obowiązków ktoś, kto pracuje w atmosferze spokoju, harmonii i ładu!

Nie może być mowy o oszczędności tam, gdzie w grę wchodzi np. wykończanie obiadu nagwałt, kiedy już wszyscy domownicy są zgromadzeni i niecierpliwie zaglądają do kuchni.

Masło pod befsztykami przypala się na zbyt ostrym ogniu, trzeba go zastąpić świeżem, ręce trzęsą się,

półmiski wychodzą z kuchni napełnione byle jak, zupa jest niedosolona, albo przesolona; coś się w pośpiechu wylewa, coś się wysypuje, a w sumie zamiast skromnego, ale smacznego obiadu wychodzi „takie coś“ po czym każdy jest głodny w godzinę i albo *dojada* na mieście, albo w domu, co powoduje wydatki, nie mieszczące się już w budżecie dziennym.

Takich przykładów (nie branych zgoła pod uwagę nawet tam, gdzie oszczędność uważa się za „*persona gratissima*“, można by przytaczać całe zeregi, a przecież *oszczędzanie, polegające na niemarnowaniu najmniejszej ilości, najniklejszej sumy*, jest dopiero dopełnieniem oszczędności, opartej na *odkładaniu pieniędzy*.

Gdyby każdy dom rodzinny, przy współdziałaniu wszystkich domowników, chciał uczciwie wcielić w czyn oszczędność typu, o jakim tutaj mowa, ręczę, że dorobki wahałyby się pomiędzy groszami, a złotem dziennym.

Proszę teraz zastanowić się, jakie poważne sumy zbiorą się, jeżeli przeliczymy te dorobki nie na jeden dom, a na wszystkie, doceniające tego rodzaju systemy. Będzie to miało niezaprzeczenie poważne znaczenie, nie tylko dla poszczególnych rodzin, ale zaważy dodatkowo i na całokształcie gospodarki krajowej, jak każdy czynnik, podnoszący skalę dobrobytu jednostek, które tworzą przecież społeczeństwo.

Więc w imię tak doniosłych skutków, spróbujmy ująć oszczędność wszechstronnie, pamiętając o tem, że *oszczędzać* nie znaczy bynajmniej odmawiać sobie i swoim wszystkiego, poza nieuniknionem minimum, a przeciwnie dążyć do *osiągnięcia maksimum, minimalnymi środkami!*

Wanda Dobrzańska.

Przepisy gospodarskie

Leguminy.

Ryż z jabłkami. Proporcja: 1/2 litra ryżu, 8 kostek cukru, 1/4 laski wanilii, 10 dkg. rodzynek, 1/2 kg. jabłek kuchennych w najlepszym gatunku, 10 dkg. migdałów słodkich, 4 łyżki cukru, masło do wysmarowania rondla, cukier puder z wanilią do posypania po wierzchu.

Obgotować ryż na obfitej wodzie, gotując parę minut. Wylać na durszlak, przepłukać zimną wodą, osączyć. Włożyć ryż do kamiennego ogniotrwałego garnka, dodać cukier, wanilię (w całości, albo pokrajaną na spore kawałki), zalać śmietanką. Gotować na wolnym ogniu pod przy-

kryciem. Rodzynki wymyć, namoczyć na kilkanaście minut w letniej wodzie, odlać, osączyć. Migdały sparzyć, obrać ze skórek, posiekać. Obrane ze skórki jabłka pokrajać na talarki, skropić lekko sokiem cytrynowym, aby nie ściemniały, przesypać cukrem, udusić w kamiennym garnuszku, pod przykryciem, na gęstą marmoladę.

Gdy ryż już ugotowany dodać do niego rodzynki i migdały, wymieszać, rozsypać **cienną warstwą** na dużym półmisku, wystudzić.

Wysmarować rondel masłem, wyprószyć tartą bułeczką. Układać w nim warstwami ryż i marmoladę z jabłek, dając na wierzchu warstwę ryżu. Zapiec w gorącym piecu, tak, aby się ryż ładnie zrumienił. Na wydaniu wyjąć na okrągły półmisek, posypać cukrem z wanilią (cukrować przez gęste sito), przybrać dokoła wieńcem owoców kompotowych osączonych z syropu.

Wyborne pierożki z powidłami. Proporcja: 1/2 kg. mąki pszennej, najprzedszej, 6 żółtek, 10 dkg. masła surowego, 3/4 szklanki wody, szczyptę soli, smalec.

Zagnieść ciasto z powyższej proporcji, doskonale wyrobić, przykryć wygrzaną miśczką, pozostawić w spokoju na przeciąg 2 godziny. Przystępując do robienia pierożków, rozplaszczyc ciasto wałkiem, rozciągnąć rękami tak, aby było zupełnie cienkie, wycinać krążkiem blaszanym, albo szklanką kółka z ciasta, na każdym kłaść trochę gęstych, doskonale wysmażonych i powidel śliwkowych, zaklejać, jak pierożki. Kiedy wszystkie już gotowe, smażyć w głębokim naczyniu na rozgrzanym smalcu, jak paczki. Osączone z tłuszczu, układać na okrągłym półmisku, cukrując pudrem z wanilią. Podawać gorące. Można też polować do takich pierożków wyborową młodą kwaśną śmietaną w sosjerce.

Wyborny strudel na drożdżach. Proporcja: 12 dkg. masła deserowego, 6 żółtek, 1 całe jajko, 6 łyżek gęstej kwaśnej śmietany, 4 dkg. drożdży, 4 łyżki mleka, 4 łyżki cukru, tyle mąki, aby ciasto było dosyć wolne, szczypta soli. 20 dkg. migdałów słodkich, 20 dkg. cukru, 5 jajek, trochę skórki pomarańczowej, 5 dkg. masła deserowego do posmarowania ciasta, trochę bułki tartej. Masło do brytfanny.

Utrzeć na śmietanę masło deserowe, dodając po jednym 6 żółtek i jedno całe jajko, oraz 4 łyżki cukru. Gdy wszystko to utarte na pulchną masę, wlewać stopniowo śmietanę. Wreszcie dodać tyle mąki, aby ciasto było tylko tak gęste, żeby się dało rozwałkować. Wlać drożdże, rozrobione w letnim mleku, i wyrobić ciasto doskonale. Rozwałkować na stolnicy, posypanej mąką na grubość palca, posmarować letnim masłem sklarowanym, posypać tartą bułeczką, rozprostować równą warstwę masy migdałowej, zwinąć w wałek. Ułożyć na blasze masłem wysmarowanej, postawić w cieple, aby podrosło. Wstawiając do pieca, posmarować rozbitym jajkiem. Piec w średnim piecu 3 kwadransy. Podawać posypyany cukrem z wanilią wprost z pieca.

Masa do przełożenia strudla. Sparzyć i obrać ze skórek 20 dkg. migdałów słodkich, wymyć je w zimnej wodzie, osączyć

i obsuszyć. Zemleć dwukrotnie na młynku. Utrzeć do białości 5 żółtek z 20 dkg. cukru pudru, dodać troszkę drobno siekanej, osmażonej skórki pomarańczowej, wymieszać. Ubić pianę z pozostałych białek, dodać do masy migdałowej, lekko wymieszać.

Legumina czekoladowa na zimno. Proporcja: 1 i 1/2 szklanki śmietanki słodkiej, 6 jajek, półtorej łyżki mąki, 40 dkg. cukru pudru, 75 dkg. czekolady w tabliczkach, trochę sproszkowanej wanilii.

Ucierać na misce żółtka z cukrem, mąką i utartą na tarce czekoladą, dolewając stopniowo po łyżce śmietanki. Gdy masa stanie się równa i pulchna, postawić rondel na gorącej blasze i mieszać łyżką drewnianą, dopóki się nie zagotuje, to znaczy, dopóki nie zaczną się formować pęcherze, a masa nie wzniesie się w górę. Odstawić masę z ognia, wystudzić. Ubić pianę z pozostałych białek, wymieszać z przestudzoną masą, wyłożyć leguminę do formy, wypłókaną zimną wodą i wyprószonej cukrem. Wstawić w lod, albo do zimnej piwnicy. Podawać z kremową śmietanką słodką, albo z zimnym sosem czekoladowym.

Legumina parzona. Proporcja: 1/4 litra mleka, 1/4 litra masła sklarowanego, 1/2 litra mąki, 7 jaj, cukru do smaku, trochę sproszkowanej wanilii, 2 dkg. słodkich, i 1 dkg. gorzkich migdałów. Masło sklarowane, albo sok do pólnia leguminy.

Zagotować w rondlu mleko z masłem sklarowanym, wsypać we wrzące osianą mąkę pszenną, mieszając tak, aby grudek nie było. Podgrzewać na wolnym ogniu, dopóki ciasto nie odstanie od rondla. Zdjąć z ognia, wystudzić.

W zimne ciasto wbijać po jednym żółtku, ucierając go łyżką drewnianą. Wsypać tarte migdały, cukru do smaku. Doskonale wyrobić, wreszcie dodać sztywno ubitą pianę z pozostałych białek, lekko wymieszać, złożyć do formy, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką, zamknąć szczelnie formę, wstawić do rondla z gorącą wodą. Gotować na parze półtorej godziny, dolewając stale wody do rondla.

Podawać leguminę, wypuszczoną na okrągły półmisek, oblewając ją masłem sklarowanym, albo sokiem owocowym.

Legumina z orzechów włoskich. Proporcja: 8 jaj, 1 i 1/2 szklanki cukru pudru, trochę wanilii, 2 szklanki orzechów włoskich. Sok malinowy, albo sos waniljowy. Zemleć na młynku 2 szklanki jąder orzechów włoskich, nieobieranych ze skórki. Utrzeć na misce do białości żółtka z pudrem, dodać do nich mielone orzechy, ucierać jeszcze 5 minut, wsypując sproszkowaną wanilię. Ubić sztywną pianę z pozostałych białek, wymieszać lekko z masą. Wlać zaprawę do formy wysmarowanej masłem i wyprószonej tartą bułeczką. Ugotować na parze (jak budyń), albo zapiec w średnio gorącym piecu. Wyjąć na okrągły półmisek, posypać pudrem z wanilią. Oddzielnie podać sok malinowy, waniljowy sos, albo szodon z białego wina.

Szarlotka z jabłek. Proporcja: 40 dkg. mąki pszennej, 20 dkg. masła, 10 dkg. cukru pudru, 2 żółtka, szczypta soli. 1 i 1/2 kg. jabłek winkowatych, 4 łyżki cukru, 10 dkg. rodzynek, 10 dkg. migdałów słodkich, łyżka drobno siekanej skórki pomarańczowej, osmażonej.

Zagnieść kruche ciasto z powyżej podanej proporcji, przykryć, pozostawić w chłodzie.

Rodzynki umyć w letniej wodzie, osączyć. Migdały sparzyć, obrać ze skórek, posiekać drobno, skórkę pomarańczową pokrajać w drobniutką kosteczkę. Jabłka obrać, wydrążyć środki, pokrajać na cienkie plasterki, skropić sokiem cytrynowym, przesypać cukrem, udusić w kamiennym garnuszku pod przykryciem, na gęstą marmoladę.

Wylepić spód dużego półmiska blaszanego, albo metalowego cienną warstwą kruchego ciasta. Na cieście ułożyć marmoladę jabłeczną, przykryć ją kręgiem ciasta kruchego, cienko rozwałkowanego, przybrać zręcznie wałeczkami i kulkami z ciasta. Ciasto w kilku miejscach ponakłuwać, aby para w czasie pieczenia uchodziła (inaczej ciasto będzie zawsze wilgotne). Posmarować po wierzchu rozbitym jajkiem. Piec w gorącym piecu, najpierw na dolnej, później na górnej kondygnacji.

Wydawać gorącą szarlotkę wprost z pieca, posypując ją suto cukrem pudrem z wanilią.

Odpowiedzi działu „Dom i gospodarstwo“.

Przeliczając wagę na miarę, musimy się liczyć zawsze z tem, że: zawartość łyżki, czy szklanki jest ściśle uzależniona od tego jak ją napełnimy, natomiast ilość dekagramów, ważonych uciwie, pozostanie zawsze jedna i ta sama.

1 łyżka cukru równa się 3 dkg.

1 łyżka masła równa się 5 dkg.

1 łyżka mąki równa się 2 dkg.

Czubata szklanka cukru pudru 20 dkg.

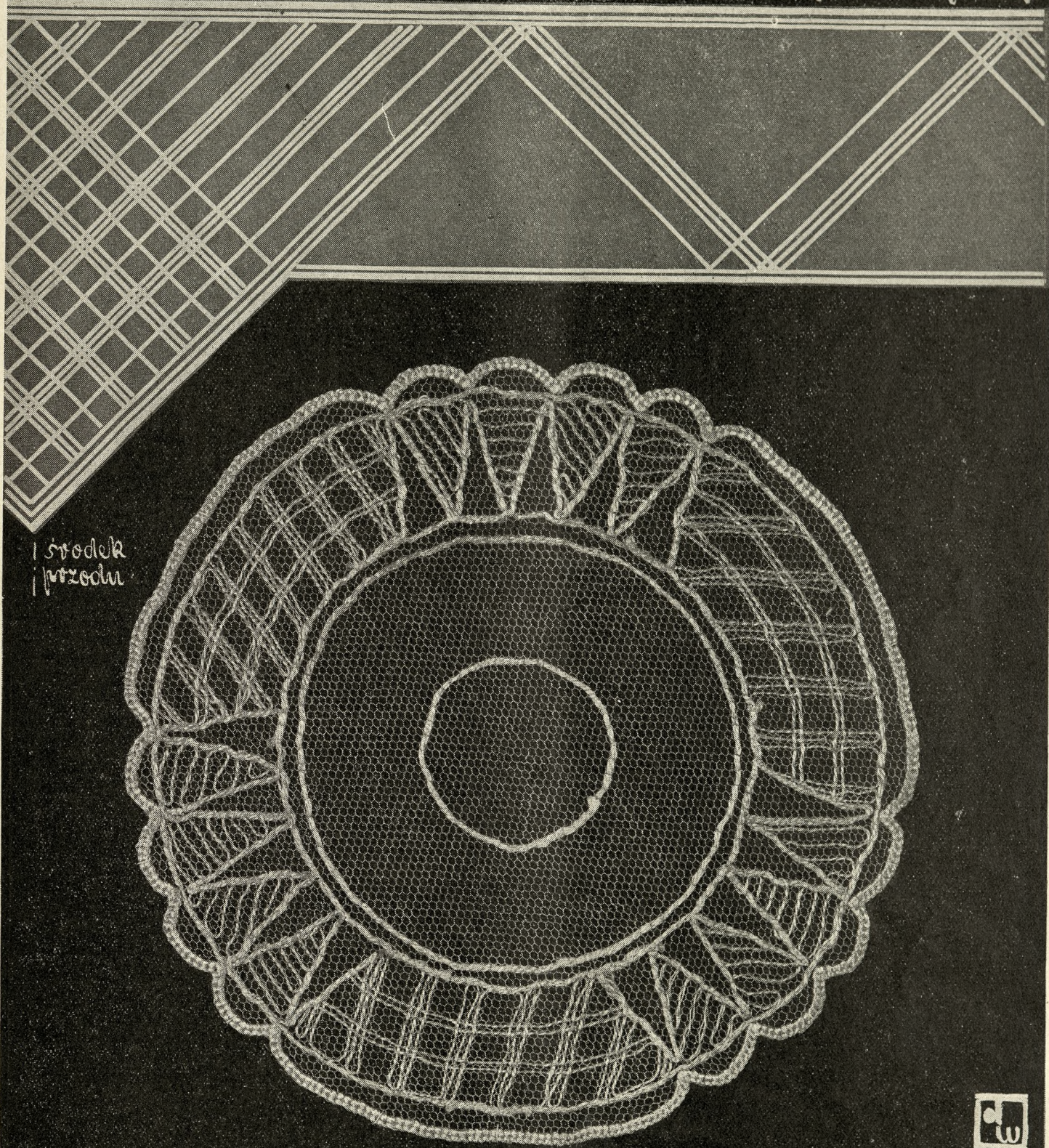
Czub. szklanka masła 22 dkg.

Czub. szklanka mąki 12 i 1/2 dkg.

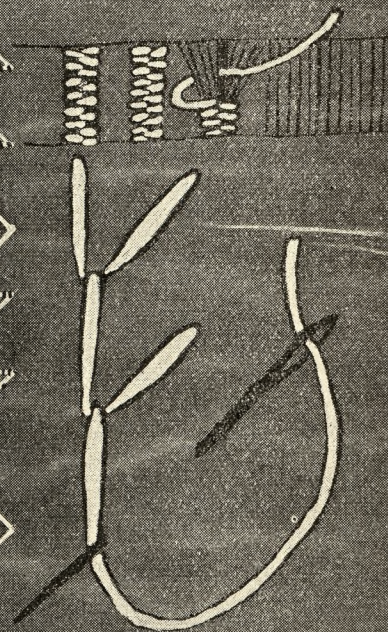
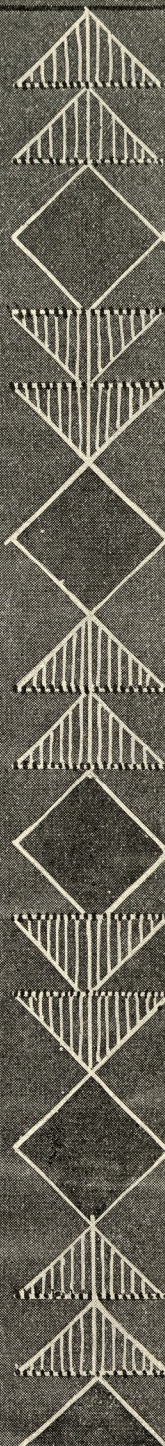
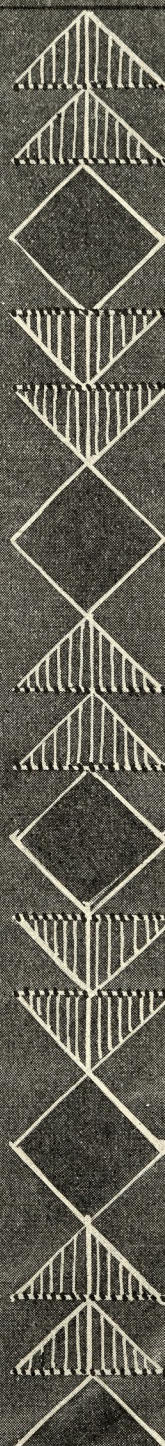
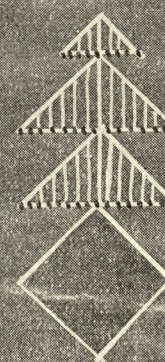
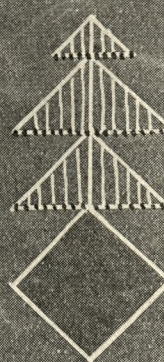
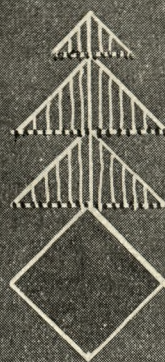
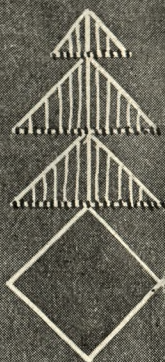
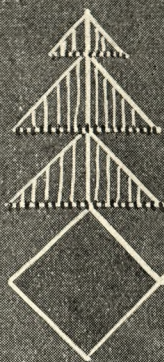
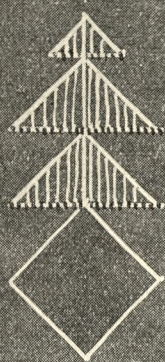
Pani Józefa Górską w Radomiu. „Sterylizowanie“ kompotów bez aparatu Wecka. polega na ułożeniu owoców w słoikach, zalaniu ich syropem, obwiązaniu słoików czysto wyczyszczonym i doskonale wysuszonym pęcherzem i gotowaniu w sianie. Gotuje się w dużym rondlu, albo kotle, kładąc na spód deseczkę dziurkowaną, która to izilacja od dna kotła zapobiega pękaniu słoików. Na deseczkach ustawia się słoje, przedzielając je jedne od drugich warstwami silnie upchanego siana. Taką smą warstwą siana oddziela się kompotjerę od ścianek kotła. Po ustawieniu i opakowaniu słoje, trzeba wlać do kotła zimnej wody, po szyjki słoików, i ustawić kocioł na blasze. Sterylizowanie, od chwili zagotowania, trwa od 10 minut do pół godziny, zależnie od rodzaju owoców i od tego, czy były układane w słojach na surowo, czy też po obgotowaniu. *Melba.*

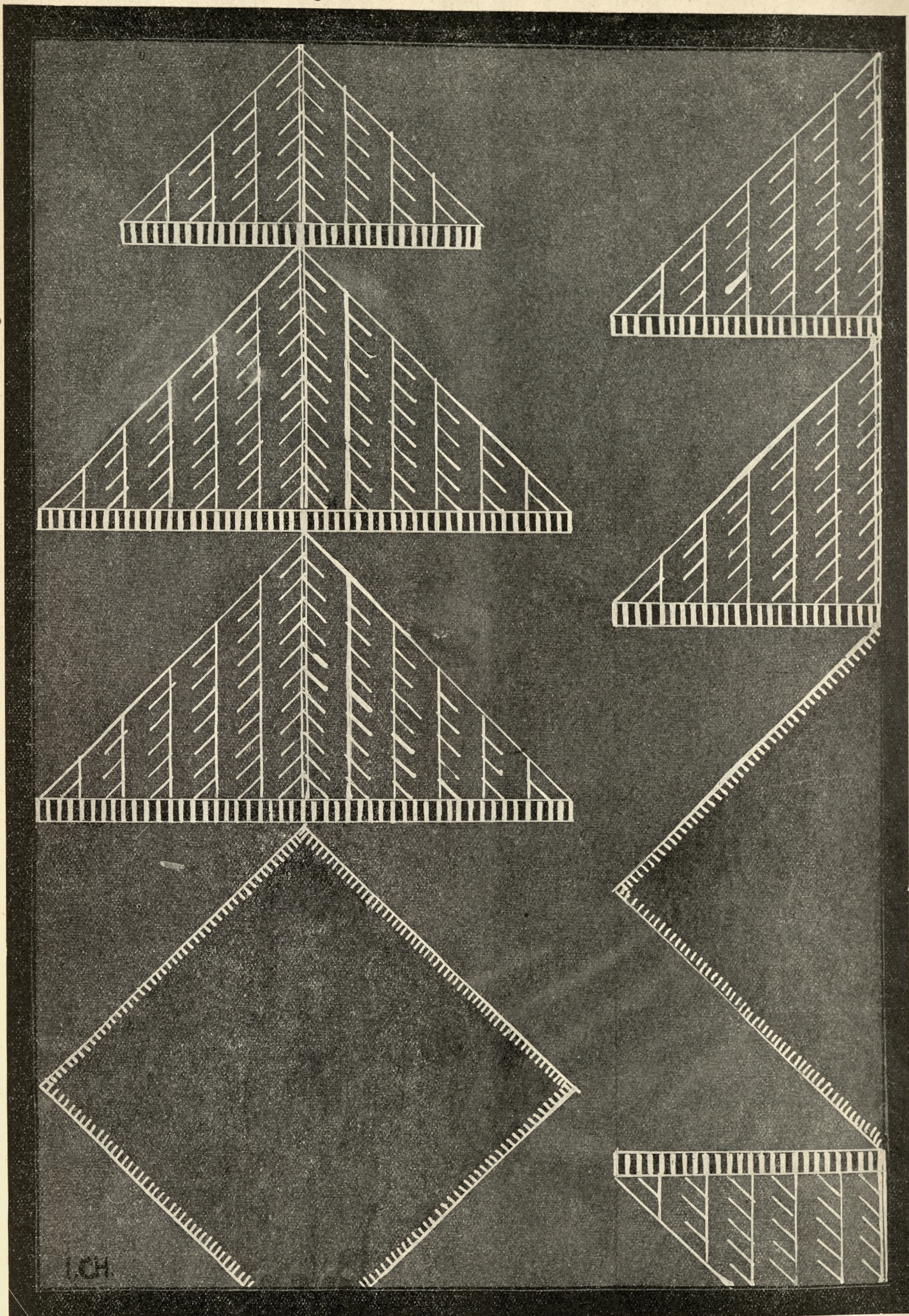
 **Biuletyn do ce-**
rowania i nici „TRZYLIJE“

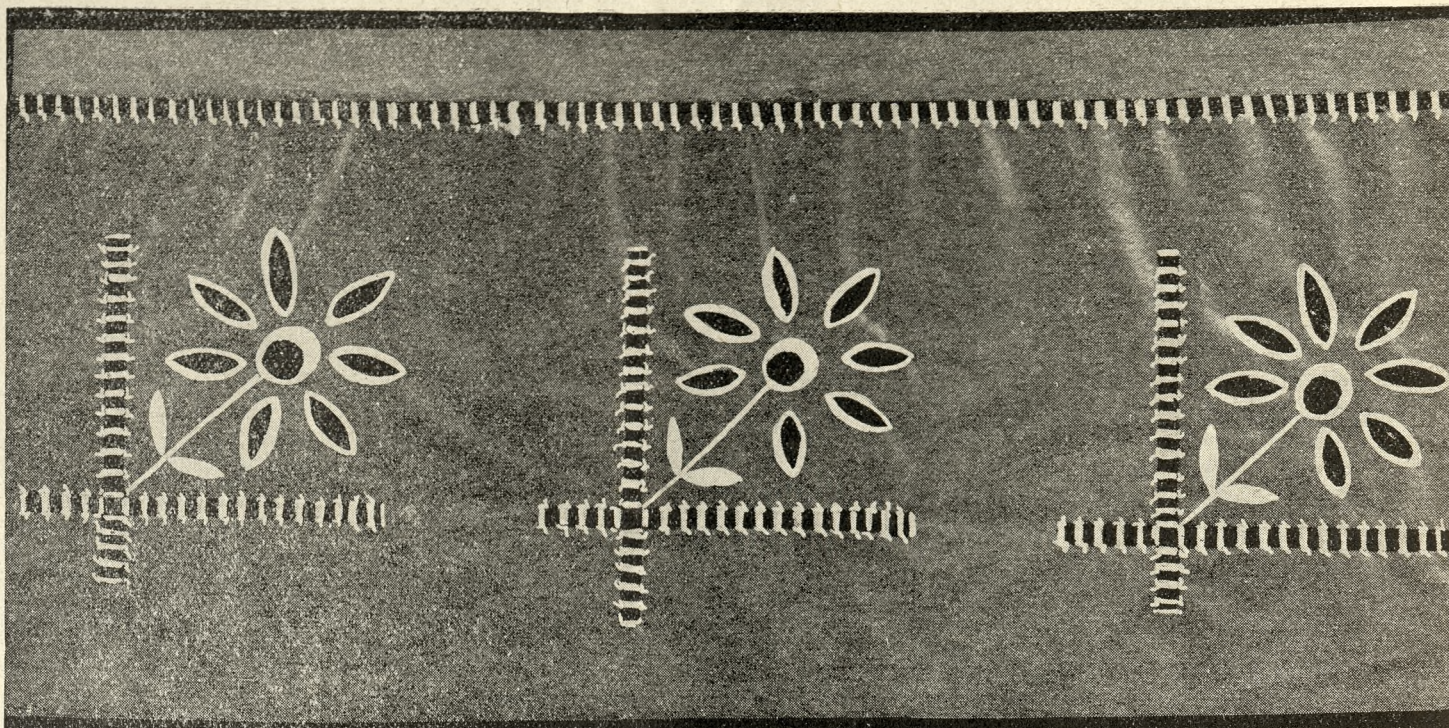
Zakończenie Koszuli dziennej haftowane
na tiulu koloru ecru początkowa nitką bar-
wą mouline w kolorze Koszuli brzeg dziergany



Serwetki haftowane na tiulu koloru ecru biała ba-
wełna mouline N 14 nitką podwójną i pojedynczą







Wzór haftu i mereżki do ozdobienia kombinacji lub koszuli.

Portjery na drzwi

*Na lnianem płótnie aplikacja i haft nićmi lnianymi
lub włóczką.*

Opis ze str. 1167.

Lniane płótno szare lub kolorowe. Wymiar portjer należy zastosować do wymiaru drzwi. W zależności od szerokości drzwi, zwiększamy ilość fragmentów haftowanych na górnym, poprzecznym odcinku portjery. To samo się stosuje do wysokości drzwi.

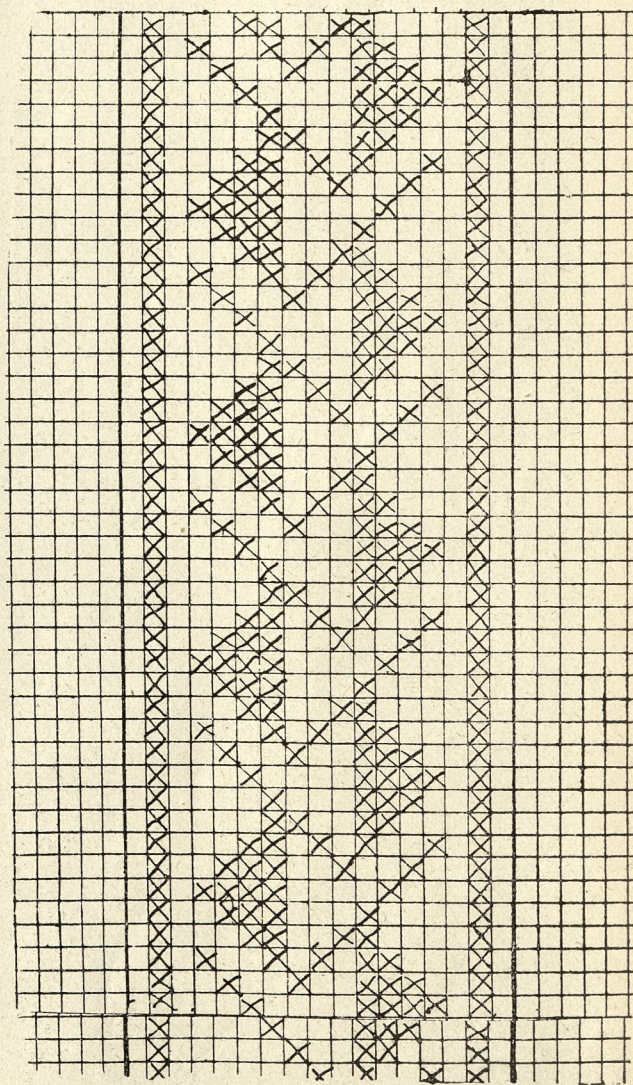
Kwadraty aplikowane z kolorowego płótna do koloru haftu, mereżki również w tym samym kolorze. Np.: na ciemno-szarym płótnie — jasno - szare płótno naturalnego koloru, także haft i mereżki; na szaro - zielonym — białe; na szaro - błękitnym — ciemno-popielate; na żółtym — rdzawe i t. d. Kolor portjer stosujemy do mebli i ścian, dla stworzenia ogólnej harmonii.

Aplikację przytrzymujemy zwykłym dzierganiem, haft i mereżka wg. wzoru. Naturalny brzeg płótna pozostawiamy bez dziergania. Wpoprzek płótno dziergamy parę razy nitką do koloru haftu. Na portjery staramy się używać całą szerokość płótna.

Można zahaftować tylko górny, poprzeczny odcinek portjery, a dwa boczne pozostawić gładkie bez haftu, wówczas dwa boczne odcinki zrobimy z płótna w kolorze aplikacji na górnym odcinku. Np. górny odcinek granatowy, aplikacja z szarego płótna, haft i mereżka z lnianych szarych nici lub włóczki; boczne odcinki portjery również z szarego płótna jak aplikacja i haft, lub odwrotnie.

Wszystkie trzy odcinki portjery należy wykończyć oddzielnie i nie łączyć razem na stałe dla wygody w praniu, łączy się je spinając specjalnymi uchwyty, które są przymocowane do kółek mosiężnych, nałożonych na mosiężny drążek, na którym wisi portjera.

J. Chodkiewiczowa.



Szlak wyszyty krzyżykami.

Cztery strony mój podamy w następnym numerze

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. Stefania Manowska w Ostrowiu Kieleckim. Dopiero po powrocie z urlopu kierowniczkę odnośnego działu mogliśmy zebrać żądane przez Sz. Panią informacje. Zwróciliśmy się do najkompetentniejszego źródła t. j. do naszej „Poradni Mody”, Świętokrzyska 17, gdzie Sz. Pani w każdej chwili może otrzymać najnowsze modele.

Jeśli chodzi o kursa gorseciarskie to możemy polecić kaucjonowane kursy Felicji Koryckiej, Marszałkowska 147.

MEBLE

gwarantować może tylko własna wytwórnia

Stołowy 14 sztuk 450. Sypialnia 10 sztuk 440. Gabinety 460. Salony mahoni 10 sztuk 220. Złoczone orzechowy, fotele futurystyczne, tapczany higieniczne 85. Otomany 120. Stoły rozsuwane 50. Krzesła wyścielane 15, oraz najróżnorodniejsze sztuki.

OLKOWSKI

Nowy Świat 12, tel. 9-10-93
= Firma chrześcijańska =

Jak wykonać cały szereg wykwinnych, modnych rzeczy, nauczy Panie Książeczka p. t.

Artystyczne pikowanie

w opracowaniu

T. GŁĘBOCKIEJ

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Warszawa, Solec 87, Świętokrzyska 17 m. 3 oraz we wszystkich większych księgarniach.
Konto P. K. O. 12.200

Cena 1 zł. 50 gr.
z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

WYTWÓRNI FORM BIBUŁKOWYCH

TOW. WYD. „BLUSZCZ”

„Moja Krawcowa”

posiada na składzie formy bibułkowe wszystkich modeli zaopatrzonych numerem i literą podawanych w „Bluszczu” i „Kobiecie w świecie i w domu”.

Dobra forma bibułkowa jest niewątpliwie podstawą każdej eleganckiej sukni, jeśli pani tę suknię szyje sama, lub przy pomocy domowej krawcowej, należy więc stanowczo przed skrojeniem sukni, palta czy kostjumu zamówić formę bibułkową. Zrobić to trzeba w następujący sposób: po wybraniu modelu porównać swoją miarę z jedną z podanych wielkości.

wielkość I gors (połowa) 44 cm., biodra 50 cm.

wielkość II gors (połowa) 48 cm., biodra 52 cm.

wielkość III gors (połowa) 56 cm., biodra 60 cm.

i na załączonej do wycięcia karcie, lub na zwykłej karcie pocztowej wypisać numer i literę modelu oraz jego wielkość.

Ceny form bibułkowych są następujące:

kategoria I: suknie, palta, kostjумы, szlafroki, piżamy — zł. 1.50

kategoria II: spódnice, bluzki, bielizna, formy dziecięce — 1.—

Przesyłka pocztowa 30 gr.

Równocześnie z zamówieniem trzeba przesłać należność przekazem pocztowym lub na konto P.K.O. 170. Forma zostanie wysłana natychmiast po otrzymaniu należności. Zamawiającym za pobraniem pocztowym dolicza się koszty przesyłki w sumie 1 zł. 35 gr.

UWAGA: Wytwórnia „Moja krawcowa” podejmuje się również wykonania form bibułkowych do dostarczonych modeli z innych pism w cenie 2 zł. 50 gr. za formę kateg. I i 2 zł. za kateg. II.

Do Wytwórni form bibułkowych

„Moja krawcowa”

ZAMÓWIENIE:

Proszę o dostarczenie podług adresu wskazanego na odwrocie następujących form bibułkowych:

Sztuk	Suknia model	wielkość	cena zł. 1.50
„	Palto model	wielkość	„ „ 1.50
„	Kostjum model	wielkość	„ „ 1.50
„	Szlafrok model	wielkość	„ „ 1.50
„	Piżama model	wielkość	„ „ 1.50
„	Bluzka model	wielkość	„ „ 1.—
„	Matinka model	wielkość	„ „ 1.—
„	Spódnica model	wielkość	„ „ 1.—
„	Bielizna damska model	wielkość	„ „ 1.—
„	Bielizna męska model	wielkość	„ „ 1.—
„	Forma dziecięca model	wielkość	„ „ 1.—

Ogólną sumę zamówienia zł. gr. ... wpłacam równocześnie na konto P. K. O. 170 — przesyłam przekazem pocztowym (niepotrzebne skreślić).

(podpis)

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

P. Izie: Aby wybielić ręce i utrzymać je gładkie i ładne, pomimo gospodarskich i kuchennych zajęć, polecam Pani *Krem Prałatów*, który nawet bardzo zniszczone ręce szybko doprowadzi do należytego stanu, nadając im aksamitną gładkość i delikatność. Jeżeli idzie specjalnie o wybielenie, to na noc, po natarciu *Kremem Prałatów*, proszę grubo przypudrować wybielającym pyłkiem *Juvenia Candida* i włożyć obszerne rękawiczki, aby puder utrzymał się przez noc. Jeżeli ręce są bardzo zniszczone, to i wśród dnia raz lub 2 razy po umyciu wetrzeć troszkę *Kremu Prałatów*, który wciera się zupełnie do sucha.

P. Zosi w Mińsku: Aby utrzymać białą czystą cerę, radzę Pani 2 — 3 razy dziennie nacierać twarz wschodnim płynem *Mi-*

mosa. Przy używaniu tego płynu pozbędzie się Pani błyszczącej tłustej cery koło nosa i na brodzie. Przytem, aby dobrze oczyścić pory skóry, radziłbym Pani zarzucić mycie twarzy mydłem, używać natomiast do mycia *otrąbków abaridowych*. Przy tłustej cerze nie wolno używać tłustych kremów i pudrów i dlatego radzę Pani stosować *krem Abarid* i nietłusty *puder Abarid*. Wogóle lepszego pudru nad abaridowy nie znam, a *krem Abarid*, stosowany przez czas dłuższy, zapobiega tworzeniu się zmarszczek i wygładza już istniejące.

Ciemniejając: Utrzymaj Pani jasny kolor włosów i rozjaśni je na kolor złoto-blond, stosując *płyn Hella*, który jest przygotowany na wyciągu z rumianku. Wody utlenionej używać do rozjaśnienia włosów nie wolno, gdyż niszczy i kruszy włosy.

M-me Ercèdes.

Każda z pań zrobi dla siebie, męża i dzieci najmodniejsze kamizelki, swetry szale i wiele innych rzeczy, przy pomocy doskonałych podręczników

SZYDEŁKIE

i na **DRUTACH**

DLA DZIECI

DLA MŁODZIEŻY

DLA PAŃ I PANIENEK

DLA PANÓW I CHŁOPCÓW

ŚCIEGI SZYDEŁKOWE I NA DRUTACH

Do nabycia:

w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Solec 87
i Świątokrzyska 17 oraz we wszystkich
kioskach „Ruchu” i księgarn.

Cena każdej książki 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

KARTA POCZTOWA

NADAWCA:

Imię i nazwisko

Miejscowość

Pocztą

Znacek
z a 2 0
g r o s z y

„MOJA KRAWCOWA”

WYTWÓRNIA FORM BIBUŁKOWYCH

TOW. WYD. „BLUSZCZ”

W A R S Z A W A

Ś-to Krzyska 17 m. 3

Na biurko, szafkę z książkami, półeczkę
na ścianie, zrobię sama nowoczesne
ozdoby z blachy według książeczek!

„Rzeczy

ozdobne

z blachy”

Do nabycia w Tow. Wydawn. „BLUSZCZ”

Warszawa, Solec 87, i Świątokrzyska 17

oraz we wszystkich większych księgarniach

Konto P. K. O. 12.200

Cena 1 zł. 50 gr. z prze-

syłką poczt. 1 zł. 80 gr.

Książka daje naj-
prawdziwszy obraz
życia. Chcesz poz-
nać życie, walki,
wzloty i upadki
duchowe współ-
czesnej młodzieży
p r z e c z y t a j

ZA BIAŁĄ ŚCIANĄ

J. KORCZAKOWSKIEJ

WYDAWCA:

Tow. Wyd. „Bluszcz”

Cena 1 zł. 20 gr.

Do nabycia
w Tow. Wydawn.
„BLUSZCZ”
Solec 87 i Świą-
tokrzyska 17 m. 3
oraz we wszystkich
księgarniach
Konto P.K.O. 12.200.